

Neels Betty

GWIAZDKA MIŁOŚCI

Świąteczny romans

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Teodozja Chapman wspinała się po stromych schodach do wynajmowanego na poddaszu pokoiku, który właścicielka domu nazywała szumnie - i niezgodnie z prawdą - studiem. Pokonując cztery piętra, w myślach podsumowywała miniony dzień - nieprzyjemny i podobny do innych.

Panna Prescott, główny dietetyk szpitala św. Aldwyna, była zrędliwą starą panną w nieokreślonym wieku, wiecznie niezadowoloną ze wszystkiego i wszystkich. Na Teodozję, chwilowo pełniącą funkcję jej osobistej asystentki i zmuszoną do przebywania w jej towarzystwie niemal przez cały dzień, spadała większość kąśliwych uwag i pretensji szefowej. A dzisiaj był dopiero poniedziałek. Na sobotę i niedzielę trzeba było czekać niemal cały tydzień...

Teodozja dotarła do wąziutkiego podestu na samej górze i najszybciej jak się dało otworzyła drzwi. Weszła do pokoju - większego niż można się było spodziewać, biorąc pod uwagę rozmiary domu - i westchnęła z ulgą. Nie żywiła żadnych złudzeń co do urody tego miejsca - jedno jedyne niewielkie okienko w ukośnym suficie wychodziło na płaski dach niższej o jedno piętro przybudówki, w rogu stała kuchenka, nad którą wisiały półki

na naczynia, a pod przeciwległą ścianą panoszył się niezgrabny kominek z gazowym wkładem. Ale przynajmniej tu była u siebie.

Stoi i krzesła były wprawdzie odrapane, ale kolorowy obrus i barwne poduszki odwracały uwagę od ich stanu. Na parapecie zieleniły się doniczki z kwiatami, a sympatyczne obrazki maskowały zacieki na ścianach. Na niewielkim stoliku obok rozkładanej kanapy stała piękna lampa. Ale główną atrakcją pokoju był wspaniały rudy kot dumnie wyciągnięty na kanapie. Na widok swojej pani zeskoczył na podłogę i podszedł do niej, żeby się przywitać. Teodozja wzięła go na ręce i przytuliła serdecznie.

- Miałam koszmary dzień, Gustawie. Trzeba jakoś temu zaradzić. Co powiesz na wcześniejszą kolację? Idź. teraz na spacer, a ja otworzę ci puszkę.

Uchyliła okno, a Gustaw z gracją zeskoczył na dach i zaczął się przechadzać między skrzynkami i doniczkami, w których latem Teodozja hodowała ulubione kwiaty. Obserwowała go przez chwilę. Na dworze było zimno i nieprzyjemnie - nic dziwnego: do Bożego Narodzenia zostało nie więcej niż pięć tygodni. Kiedy tylko Gustaw wróci, zamknie okno i zapali lampę, której przyjazne światło pozwoli im zapomnieć o ponurych ciemnościach panujących na świecie.

Dopiero teraz Teodozja zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku za kotarę, która zasłaniała jej prowizoryczną garderobę. Potem zerknęła w lusterko wiszące nad komodą, spoglądając na swoje odbicie. Nie jest źle, uznała. Nie mogła uchodzić za piękność, ale miała wyraziste, wielkie oczy ocienione długimi rzęsami. Szkoda tylko,

że szare. To nie był jej ulubiony kolor, chociaż nieźle pasował do rudych włosów, prostych i długich, które na co dzień upinała nad karkiem w ciasny kok. Usta były nieco za duże, ale ich kąciki wyginały się w górę w miłym uśmiechu. Nos... Nos jak nos, może trochę za bardzo zadarty...

Odwróciła się i odeszła od lustra, tak małego, że nie miała szansy dostrzec w nim dobrej figury ani zgrabnych nóg. Ale Teodozja nie była osobą próżną. Co więcej, cechowało ją pragmatyczne podejście do rzeczywistości -dzięki czemu w miarę dobrze znosiła nudę życia - podszyte silnym pragnieniem, aby wszystko zmienić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale w tej chwili szansa na zmianę była nikła.

Teodozja nie miała żadnych specjalnych kwalifikacji. Umiała pisać na maszynie i stenografować, radziła sobie z komputerem i była osobą odpowiedzialną, ale niewiele dałoby się do tego dorzucić. W rzeczywistości nie wykorzystywała nawet części swoich umiejętności, gdyż przez większą część dnia biegała po szpitalu, załatwiając sprawy swojej szefowej, odbierała telefony i służyła jako chłopiec do bicia w sytuacjach, kiedy pacjent lub ktoś z personelu szpitalnego ośmielił się zakwestionować dietetyczne zalecenia panny Prescott.

Co gorsza, mogła się spodziewać, że kiedy pani Taylor, którą teraz zastępowała, wróci ze zwolnienia, ona znajdzie się znowu wśród innych maszynistek przepisujących lekarskie raporty. Serdecznie nie lubiła swojej pracy, ale, jak powtarzała sobie z wrodzonym zdrowym rozsądkiem, żebracy nie mają wyboru.

Pensja Teodozji z trudem wystarczała do pierwszego i zwykle pod koniec miesiąca nadchodziły dla niej chude dni, więc o żadnym oszczędzaniu nie było mowy. Jej rodzice zmarli na grypę w odstępie kilkutygodniowym, kiedy miała zaledwie dziewiętnaście lat. Musiała wówczas przerwać ledwie rozpoczętą naukę w szkole fizjoterapii, najzwyczajniej w świecie nie miała na naukę pieniędzy. Pośpiesznie zapisała się na kurs dla sekretarek, a po jego ukończeniu znalazła pracę w szpitalu św. Aldwyna. Pensja była niewielka, praca nieciekawa, ale Teodozja nie miała innego wyjścia. Co gorsza - bez wyższych kwalifikacji nie mogła liczyć na nic lepszego. A czas leciał. Za kilka miesięcy Teodozja kończyła dwadzieścia pięć lat.

Miała wprawdzie znajomych - dziewczęta w podobnej sytuacji życiowej, młodych lekarzy, z którymi czasem umawiała się na randki, ale spotykała się z nimi tak rzadko, że każda znajomość wkrótce umierała śmiercią naturalną. Miała też rodzinę, a konkretnie dwie cioteczne babki, ciotki jej ojca, które wiodły wygodne życie we własnym domu na wsi. Odwiedzała je z okazji Bożego Narodzenia, od czasu do czasu spędzała u nich weekendy, ale mimo że obie panie odnosiły się do niej bardzo uprzejmie, czuła, że jej pobyty w Finchingfield zakłócają uregulowane życie ciotek. Wiedziała, że była tolerowana jedynie z poczucia obowiązku.

Dzisiaj rano znalazła w skrzynce list zaadresowany staroświeckim charakterem pisma. Cioteczne babki zapraszały ją na święta. Pojedzie do nich, oczywiście.

Kiedy Gustaw wrócił, zamknęła okno i zaciągnęła za-

słony, żeby nie patrzeć w przygnębiającą ciemność. Po kolacji oboje zasiedli po obu stronach kominka na największych krzesłach udających fotele. Z radia płynęły spokojne melodie. Kot drzemał, a ona czytała powieść wypożyczoną z biblioteki. W pewnej chwili podniosła oczy i rozejrzała się po pokoju.

- Na szczęście mamy miły dom - powiedziała do Gustawa, który w odpowiedzi zastrzygł uszami.

Oby dzisiaj panna Prescott była w lepszym nastroju, myślała Teodozja, krocząc mokrym od deszczu chodnikiem. Jak to dobrze, że nie musi czekać na przystankach ani tłoczyć się w autobusach. Jej pokój nie jest szczytem luksusu, ale przynajmniej ma blisko do pracy.

Szpital widać było z daleka - dziewiętnastowieczny wiktoriański gmach z czerwonej cegły, z wielkim wejściem i rzędami okien na frontowej elewacji. Izba przyjęć i oddział urazowy mieściły się w nowoczesnym budynku dobudowanym do części głównej.

Biuro głównego dietetyka znajdowało się na najwyższym piętrze. Pokażnych rozmiarów pokój cały zastawiony był regałami. Półki uginały się od podręczników i encyklopedii oraz segregatorów i skoroszytów z danymi. Panna Prescott siedziała za wielkim dyrektorskim biurkiem, na którym stały dwa telefony i komputer. Z nadętą miną kartkowała duży notes wypełniony zawodowymi notatkami od pierwszej do ostatniej strony. Nie było wątpliwości, że uważa się za bardzo ważną osobę.

Warto dodać, że władczy wyraz twarzy i nader obfity biust w połączeniu ze sporym wzrostem stanowiły kom-

binację, która dawała pannie Prescott znaczną przewagę nad każdym, kto ośmieliłby się jej sprzeciwić w jakiegokolwiek sprawie.

Małe biurko Teodozji stało w przyległym, nie większym od dziupli pokoiku z wiecznie otwartymi drzwiami, po to żeby mogła stawiać się natychmiast na każde zawołanie panny Prescott. A to, trzeba powiedzieć, zdarzało się bardzo często.

Teodozja być może nie zajmowała się niczym szczególnie ważnym. W końcu to nie ona wymyślała, jak żywić kilka setek pacjentów o bardzo zróżnicowanych dietach, ale i tak miała co robić.

Przepisywała na maszynie niekończące się zestawienia, jadłospisy i indywidualne diety, nie mówiąc o obraźliwych listach do tych pielęgniarek oddziałowych, które narzekały na decyzje jej szefowej.

Nie było najmniejszych wątpliwości - panna Prescott kontrolowała wszystko, co trafiało do żołądków pacjentów szpitala św. Aldwyna.

Kiedy Teodozja dotarła do biura, zamiast dzień dobry usłyszała kwaśne: -

- Spóźniłaś się.

Panna Prescott królowała już za swoim imponującym biurkiem.

- Tylko dwie minuty - odpowiedziała z uśmiechem Teodozja. - Winda nie działa i musiałam wspinać się na piąte piętro.

- W twoim wieku wejście na piąte piętro "nie powinno być problemem. A teraz proszę otworzyć listy. I panna Prescott z oburzeniem wciągnęła powietrze tak głęboko, że zatrzeszczały fiszbiny jej gorsetu.

221

- Mam kłopoty z siostrą oddziałową z drugiego wewnętrznego - syknęła. - To impertynentka. Ma czelność kwestionować ustaloną przeze mnie dietę dla pacjentki z cukrzycą i niewydolnością nerek. Już z nią rozmawiałam przez telefon. Proszę wpisać do komputera moje wytyczne, wydrukować je i jak najprędzej zanieść na dół. Obowiązkiem pielęgniarki jest wypełnianie moich instrukcji. Powiedz jej to.

Teodozja powoli rozcinała koperty. Nie była zachwycona zadaniem, które ją czeka. Im częściej zdarzało jej się być posłańcem przenoszącym niemiłe wiadomości, tym mniej lubiła tę rolę. Niestety, już w pierwszych dniach pracy zorientowała się, że panna Prescott konsekwentnie unika konfrontacji z -osobami, które odważają się przeciwstawić jej decyzjom.

I tak pół godziny później, z papierami w garści, znalazła się na schodach prowadzących na oddział kobiecy, który znajdował się dwa piętra niżej.

Odnalazła siostrę oddziałową i z lekkim ociąganiem zapukała do jej pokoju. Miła, trzydziestoletnia kobieta, wysoka i zgrabna, powitała ją przyjaznym uśmiechem.

- Tylko mi nie mów, że to straszne babsko przysłało cię do mnie z kolejną dietą! - Załamała ręce na widok papierów w rękach Teodozji. - Przecież rozmawiałam z nią przed chwilą...

- Wspomniała mi o tym. Gdyby chciała siostra napisać odpowiedź, chętnie chwilę zaczekam.

- Czy masz mi też przekazać jakieś ustne wiadomości?

- Właściwie to tak - Teodozja lekko się zająknęła -

ale nie sadzę, żeby to było konieczne. To znaczy, wydaje mi się, że panna"Prescott napisała wszystko... Pielęgniarka zaśmiała się.

- Zobaczymy, co dostałam tym razem...

Czytała, kiedy ktoś otworzył drzwi. Jeden rzut oka wystarczył, by zerwała się na równe nogi.

- Przyszedł pan dzisiaj wcześniej!

Mężczyzna, który wszedł do pokoju, był postawny i bardzo wysoki. Miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. W jednej chwili pokój wydał się Teodozji o połowę mniejszy. Z wyraźną ciekawością patrzyła na przybysza. Zauważyła jego ciemnoblonde włosy, lekko siwiejące na skroniach, orli nos i niebieskie oczy z ciężkimi powiekami. Jest zdecydowanie przystojny, przyznała w duchu. Chętnie przyglądałaby mu się dłużej, ale kiedy poczuła na sobie jego chłodny wzrok, zakłopotana, odwróciła głowę.

- Czy nie przeszkadzam? - zapytał uprzejmym tonem, unosząc brwi i patrząc w stronę Teodozji.

- Nie, w żadnym wypadku. Panna Prescott i ja nie możemy porozumieć się co do diety pani Bennett. Teraz przysłała Teodozję z zaleceniem, przy którym się upiera, i...

Przerwała, bo mężczyzna wyciągnął rękę i zdecydowanym gestem wziął od niej papiery przyniesione przez Teodozję.

- Miała siostra rację - powiedział, przeczytawszy wskazania. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli sam porozmawiam z panną Prescott.

Zerknął na zegarek.

223

- Zrobię to od razu. Wrócę niebawem. Otwierając drzwi, spojrział na Teodozję.

- Panna, hm... Teodozja powinna pójść ze mną. Zobaczysz, jak się gra fair.

Teodozja poszła za nim, ponieważ wyraźnie tego od niej oczekiwał. Nie była jednak pewna, co miał na myśli, mówiąc o grze fair. Panna Prescott bezlitośnie niszczyła wszystkich, którzy się z nią nie zgadzali. Teodozja podejrzewała jednak, że dzisiaj nie pójdzie jej łatwo - ten mężczyzna, bez względu na to, kim był, nie wyglądał na kogoś, kto by pozwolił źle się potraktować.

Musiała mocno wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku. Zerkając spod oka w jego beznamiętną twarz, pomyślała, że powinna się do niego odezwać - oczywiście ze zwykłej grzeczności.

- Czy pan też pracuje w naszym szpitalu? - zapytała.

- To taki moloch, że człowiek rzadko spotyka kogoś dwa razy... Podejrzewam, że jest pan lekarzem.

Czy mogę zapytać, czy spotkał pan kiedyś pannę Prescott?

Wbiegali teraz na schody.

- Musi pan zwolnić - sapnęła Teodozja z wysiłkiem.

- O ile, oczywiście, mam dotrzeć na najwyższe piętro razem z panem.

Zatrzymał się i spojrział w dół.

- Bardzo mi przykro, młoda damo, ale nie mogę tracić czasu.

Było to raczej niegrzeczne. Przynajmniej według Teodozji.

- Prawdę mówiąc, ja też nie mam zbyt wiele czasu. W milczeniu dotarli do biura. Mężczyzna otworzył

drzwi i przepuścił Teodozję przodem. Panna Prescott nie raczyła nawet podnieść głowy znad papierów.

- Nie można powiedzieć, żebyś się spieszyła. Już nie mogę się doczekać powrotu pani Taylor. Co tym razem siostra miała do powiedzenia?

Podniosła oczy i rumieniec zalał jej twarz.

- Och! - przełknęła ślinę. - Czy potrzebuje pan mojej pomocy?

Mężczyzna podszedł do niej bez słowa. Po drodze darł na drobne kawałki kartkę z wypisaną dietą.

Potem położył strzępy papieru na blacie biurka i odezwał się spokojnym tonem:

- Panno Prescott, nie mam czasu na spory z osobami, które działają wbrew moim wskazaniom. Dieta pani Bennett będzie ustawiona dokładnie według moich wskazówek. Wprawdzie jest pani głównym dietetykiem, ale nie ma pani prawa ignorować zaleceń personelu medycznego. Byłbym wdzięczny, gdyby pani o tym pamiętała.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju jak gdyby nigdy nic, zostawiając pannę Prescott pełną bezsilnej wściekłości.

Teodozja z niepokojem obserwowała, jak jej twarz przybiera niebezpieczny purpurowy odcień.

- Czy podać pani filiżankę herbaty? - zaproponowała.

- Nie... Tak... Zdenerwowałam się... Ten człowiek...

- Uważam, że jest całkiem miły. I bardzo uprzejmy. Panna Prescott przygryzła wargi.

- Czy wiesz, kto to jest? Wkładając saszetki z herbatą do czajniczka, Teodozja zgodnie z prawdą odpowiedziała, że nie wie.

- Profesor Bendinck. Jest głównym konsultantem medycznym naszego szpitala i członkiem jego zarządu, ma olbrzymią prywatną praktykę i jest uznawany za autorytet w wielu dziedzinach medycyny.

- No, no, no! - wykrzyknęła Teodozja. - Czy pani go nie lubi?

Panna Prescott prychnęła, oburzona zadaniem pytaniem.

- Czy go nie lubię? Dlaczego miałabym go lubić? Jeśli zechce, może mnie stąd zwolnić choćby dzisiaj. I zacisnęła usta, zdając sobie sprawę, że i tak powiedziała zbyt wiele.

- Jestem pewna, że nie ma się czym martwić. - Wprawdzie Teodozja nie lubiła panny Prescott, ale uznała, że musi ją pocieszyć po szoku, jakim było dla niej spotkanie z profesorem. - On nie wydaje się człowiekiem złośliwym.

- Nic o nim nie wiesz - warknęła panna Prescott i wzięła z rąk Teodozji herbatę, nie zadając sobie trudu, żeby podziękować.

A Teodozja, nalewając herbatę dla siebie, pomyślała, że z chęcią dowiedziałaaby się o nim czegoś więcej.

Wtorek okazał się gorszy od poniedziałku. Kiedy po pracy Teodozja dotarła wreszcie do domu, westchnęła z ulgą. Perspektywa spędzenia cichego wieczoru w towarzystwie Gustawa wydawała się najmiłą rzeczą pod słońcem.

Na progu leżał kolejny list od ciotek. Teodozja została zaproszona, aby spędzić z nimi najbliższy weekend. Panie przeczytały niedawno w gazecie, że powietrze w Londynie jest bardzo zanieczyszczone - a zatem dzień

lub dwa na wsi dobrze jej zrobi. Jest oczekiwana w sobotę, w porze lunchu.

To nie było zaproszenie. Raczej polecenie. Teodozja nie miała wielkiej ochoty tam jechać, ale wiedziała, że i tak pojedzie. W końcu cioteczne babki były jej jedyną rodziną.

Nic nie wskazywało na to, że tydzień, który rozpoczął się pechowo, zakończy się lepiej. Odwrotnie.

Ponieważ panna Prescott uznała, że życie nie jest łatwe, pracowała usilnie, żeby wszyscy wokół myśleli tak samo. Teodozja coraz bardziej żałowała, że nie spędzi najbliższego weekendu w domu.

Chciałaby dłużej pospać, jeść wtedy, kiedy ma na to ochotę, rozłożyć się na podłodze z gazetami...

Weekend z ciotkami z trudem można nazwać wypoczynkiem.

Gustaw nie znosił tych wypraw: upokarzającego zamknięcia w koszyku, męczącej jazdy autobusem, pociągiem i znowu autobusem oraz poczucia - kiedy docierali już na miejsce - że jest ledwie tolerowany, a i to tylko dlatego, że nie można inaczej. Teodozja zapowiedziała bowiem, że o ile ma spędzać weekendy w domu ciotek, Gustaw będzie przyjeżdżać razem z nią.

Nadszedł piątkowy poranek. Teodozja przebiegała długie szpitalne korytarze i ze wszystkich oddziałów zbierała dane o tym, co przez cały tydzień jedli pacjenci. Nagle, w pełnym pędzie, wpadła na profesora, który zgrabnie ją złapał, poczekał, aż Teodozja odzyska równowagę, po czym pozbiierał z podłogi rozsypane papiery i wręczył je jej z uśmiechem.

- Tak mi przykro. Przepraszam. Pewnie pan powie, że powinnam uważać...

Nikły promyk zimowego słońca odbił się od jej rudych włosów, które nagle zaśniły ogniem. Profesor stał i w milczeniu podziwiał ten widok. Wiosenny poranek w środku szarej zimy, pomyślał z zachwytem i zaraz zmarszczył brwi na tak nonsensowne porównanie.

- Wszystko przez ten pośpiech - oznajmiła Teodozja z uśmiechem. - W każdy piątek jest tak samo.

Profesor poprawił okulary i zapytał zdziwiony:

- Dlaczego właśnie w piątek?

- Och! Przecież jest koniec tygodnia. Wielu pacjentów wychodzi na przepustki, siostry też mają wolny weekend, panuje ruch na oddziałach...

- Rozumiem - odpowiedział, chociaż niczego nie zrozumiał.

Mimo to nie miał ochoty przerywać rozmowy z tą sympatyczną dziewczyną, która traktowała go jak zwykłego człowieka, a nie jak ważną figurę, którą w istocie był.

- A pani... Czy pani też wyjeżdża na weekend do domu? - zapytał od niechcienia.

- Ja? Niekoniecznie. To znaczy wyjeżdżam na ten weekend, ale nie mam rodzinnego domu, a o to chyba pan pytał. Wynajmuję całkiem miły pokój.

- Nie ma pani rodziny?

- Tylko dwie cioteczne babki. Czasami mnie zapraszają. To do nich tam jutro jadę.

- A gdzie jest to „tam”?

Miał cichy i spokojny głos. Taki głos zmusza rozmówcę do odpowiedzi, skostatowała Teodozja.

- W Finchingfield. To wioska w hrabstwie Essex.
- Jedzie tara pani samochodem?
- Samochodem? - Teodozja roześmiała się serdecznie. — Umiem jeździć na rowerze, ale nie prowadzę samochodu. Tam dość łatwo dojechać: autobusem na stację, pociągiem do Braintree, a stamtąd jeżdżą lokalne autobusy do Finchingfield. Nawet lubię tę podróż, ale Gustaw jej nienawidzi.
- Gustaw?
- To mój kot. Nie znosi autobusów ani pociągów. I trudno mu się dziwić, prawda? Profesor skinął głową. A potem powiedział coś niezwykłego.
- Tak się składa, że jutro jadę do Braintree. Z chęcią podwiozę tam panią i Gustawa.
- Naprawdę? Co za zbieg okoliczności! To byłoby...
- Zamilkła i zaczerwieniła się po korzonki włosów.
- Przepraszam. Nie chciałabym się napraszać. Nie miałam takiego zamiaru - plątała ,się coraz bardziej.
- To bardzo miło z pańskiej strony, ale nie mogę skorzystać z tej propozycji.
- Nie jestem niebezpieczny! - Profesor był lekko rozbawiony - a ponieważ nie mogła pani wiedzieć o mojej podróży do Braintree, nie ma mowy o napraszaniu się.
- Skoro tak... - Teodozja odchrząknęła. - Jeśli to nie będzie dla pana zbyt wielki kłopot, chętnie skorzystam z propozycji.
- Świetnie - uśmiechnął się i odszedł, a Teodozja, przypomniawszy sobie o reszcie papierów, pobiegła co tchu na oddział męski.

Dopiero wówczas, kiedy przekazała pannie Prescott materiały zebrane ze wszystkich oddziałów, uświadomiła sobie, że profesor nie zapytał jej o adres ani nie podał godziny wyjazdu. To znaczy, że nici z podróży jego samochodem. Zasepiona Teodozja nie usłyszała nic z tego, co mówiła do niej poirytowana panna Prescott.

Słaba nadzieja, że profesor przekaże jej jakąś wiadomość, rozwiała się pod koniec dnia. Nadeszła piąta, a potem wpół do szóstej... Opuszczając biuro, panna Prescott wynalazła jej niezwykle pilną pracę. Ale kiedy zmęczona Teodozja biegła przez hol, myśląc tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w demu, usłyszała swoje imię. Główny portier, wychylony ze stróżówki, przywoływał ją ruchem ręki.

- Mam wiadomość dla panienki. Jutro rano ma panienka być gotowa o dziesiątej i czekać tam, gdzie mieszka.

Przyjrzał się jej znad okularów.

- Tak powiedział profesor Bendinck. Teodozja wyhamowała w ostatniej chwili.

- Dziękuję bardzo, panie Bowden. - Po czym dodała: - Obiecał, że podwiezie mnie do Essex.

Główny portier lubił Teodozję. Była zawsze wesoła i z szacunkiem odnosiła się do ludzi.

- To ładnie z jego strony. Lepiej jechać samochodem niż pociągami i autobusami.

Wyjaśniając Gustawowi, że jutrzejszą podróż odbędą w komfortowych warunkach, z dala od ścisku i niewygód gwarantowanych przez komunalne środki komuni-

kacji, Teodozja zastanawiała się, jakim samochodem jeździ profesor. Na pewno czymś solidnym. Czymś właściwym dla jego pozycji. Spakowała niewielką torbę podróżną, umyła włosy i wyczyściła buty. Zimowy płaszcz wyglądał jeszcze całkiem nieźle, mimo że nie był nowy. Pocieszała się myślą, że fasony zimowych płaszczy nie zmieniają się co sezon. Jeszcze tylko zielona dżersejowa sukienka i była gotowa.

O dziesiątej rano wzięła koszyk z Gustawem, przewiesiła torbę przez ramię i zeszła na dół.

Postanowiła, że będzie czekać na profesora dziesięć minut. Jeśli w tym czasie się nie pojawi, ona zdąży jeszcze dojechać autobusem na Liverpool Street Station.

Ale jej obawy nie potwierdziły się. Profesor czekał na schodkach przed domem i rozmawiał z panią Towzer, właścicielką domu, która, nie bacząc na różowe plastikowe lokówki na głowie, wychylała się przez drzwi i udawała, że odkurza gzyms miotłką z piór. Na widok Teodozji rozjaśniła twarz w uśmiechu.

- A, jesteś, kochanieńka. Właśnie opowiadałam pani znajomemu, jaką porządną mam lokatorkę. Prawdziwą damę, która nie zapomina gasić światła na podeście. I zawsze myje po sobie łazienkę. I... Teodozja gorączkowo szukała w głowie jakiejś inteligentnej uwagi. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Przeszukała wzrokiem podłogę z nadzieją, że może znajdzie się tam zapadnia, która pochłonie ją razem z kotem i bagażami.

- Dzień dobry, pani Towzer. Dzień dobry, profesorze - wyjąkała.

231

- Profesor! No, no! - Pani Towzer nie miała zamiaru się usunąć. - I pomyśleć, że jeszcze nigdy... Teodozja nie mogła nie podziwiać tego, jak profesor Bendinck poradził sobie z jej gospodynią. Pani Towzer nawet nie zauważyła, że żegnając się z nią z wyszukaną grzecznością, przerwał jej w pół słowa. Wniebowzięta, przechyliła głowę i pozwoliła, żeby poprowadził Teodozję do samochodu, włożył do bagażnika jej torbę i ostrożnie ustawił koszyk z Gustawem na tylnym siedzeniu. Wszystko w niespotykanym wprost tempie. A kiedy, odjeżdżając, uniósł dłoń w pożegnalnym geście, westchnęła zachwycona.

- Byłoby dużo wygodniej, gdybyśmy spotkali się pod szpitalem - odezwała się Teodozja ponuro.

- Wstydzi się pani za swoją gospodynię?

- Nie! Nigdy w życiu. W gruncie rzeczy to życzliwa i dobra kobieta, ale naprawę nie musiała opowiadać o gaszeniu światła na korytarzu.

- Ani o myciu łazienki - dokończył swobodnym tonem. - Jak rozumiem, miał to być komplement pod pani adresem.

Teodozja odetchnęła z ulgą, bo profesor na szczęście podszedł do całej tej sytuacji z dystansem. Ale bezpieczniej było zmienić temat.

- Chyba tak - zaśmiała się i zaraz dodała: - Ma pan piękny samochód.

Był to ciemnoszary bentley ze skórzaną tapicerką w odcieniu o ton jaśniejszym.

- Podejrzewam, że wygodny samochód jest niezbędny w takiej pracy jak pańska. To znaczy - niestrudzenie

brnęła dalej - nie podejrzewam, żeby miał pan czas na jeżdżenie autobusami.

- Oczywiście, że samochód jest dla mnie koniecznością. Czy już się pani ogrzała? Myślę, że dobrze byłoby napić się teraz kawy. O której godzinie ciotki spodziewają się pani?

- O ile zdążę na autobus w Braintree, będę u nich w porze lunchu. A dzisiaj zdążę na pewno. Podróż samochodem na pewno trwa krócej niż pociągiem.

Wyjeżdżali właśnie z miasta. Profesor skierował się na północny wschód.

- Jeśli wytłumaczy mi pani, jak jechać, podwiozę panią do Finchingfield. To zaledwie kilka mil w bok od mojej trasy.

Niepewnie popatrzyła na niego. Ma bardzo piękny profil, szczególnie kiedy nie nosi okularów, zauważyła.

- To bardzo miło z pana strony, ale nie chciałabym robić kłopotu.

- Nie proponowałbym tego, gdyby sprawiało mi kłopot.

Jedną oschłą uwagą dał mi do zrozumienia, gdzie jest moje miejsce, pomyślała Teodozja.

- Dziękuję.

Nie zauważyła, żeby się uśmiechnął.

Kiedy w końcu opuścili Londyn, profesor wybrał drogę przez Bishop's Stortford, potem zboczył do Great Dunmow. Tam zatrzymali się na kawę.

Okazał się przemiłym towarzyszem i Teodozja cieszyła się każdą chwilą spędzoną z nim w sympatycznej wiejskiej gospodzie. Szkoda, że wspólna podróż niedługo się

233

skończy - do Finchfield zostało nie więcej niż kilkanaście mil. Ciotki mieszkają zbyt blisko Londynu, pomyślała, kiedy dojechali na miejsce.

Zatrzymali się w wąskiej uliczce na przedmieściu. W najbliższej okolicy nie było już innych zabudowań. Siedziba ciotek, zbudowana z czerwonej cegły, była zbyt duża, żeby nazwać ją wiejskim domkiem, i zbyt nieciekawa, żeby ją opisywać. Do niczym nie wyróżniających się frontowych drzwi prowadziła wąska ceglana dróżka.

Profesor- wysiadł, żeby wypuścić z samochodu Teodozję, po czym wziął torbę i koszyk z kotem, otworzył furtkę i przepuszczając ją przodem, odprowadził do wejścia.

- Przyjadę po panią jutro około wpół do siódmej, o ile nie jest to dla pani zbyt wcześnie - powiedział, kładąc na schodku jej bagaże.

- Odwiezie mnie pan do Londynu?! - zawołała, nie kryjąc swojej radości. - Ale czy na pewno nie skomplikuje to pańskich planów?

- Na pewno. Życzę miłego weekendu, Teodozjo.

Wrócił do samochodu i czekał, dopóki ktoś nie odpowie na jej pukanie. Widząc, że drzwi się otwierają, odjechał.

W progu stanęła pani Trickey, wysoka, chuda kobieta w średnim wieku, która prowadziła ciotkom dom. Miała na sobie staroświecki fartuch i wygnieciony kapelusz.

- Panienka dzisiaj wcześniej przyjechała. - Wyciągnęła szyję, żeby lepiej zobaczyć tył oddalającego się auta. - A, to dlatego... - mruknęła.

Pani Trickey opiekowała się gospodarstwem ciotek,

odkąd Teodozja sięgała pamięcią, i uważała się niemal za członka rodziny.

- Dzień dobry - powitała ją Teodozja przyjaźnie. - Jak się pani miewa? Znajomy ze szpitala podrzucił mnie do samego Finchingfield.

Pani Trickey nie odpowiedziała. Usunęła się tylko z progu, żeby Teodozja mogła wejść i wnieść swoje bagaże. Potem przeszła przez wąski i raczej ciemny hol i otwierając drzwi, zakomunikowała:

- Starsze panie są tutaj. Czekają.

Pokój pełniący funkcję salonu był całkiem spory. Miał wielkie okno wychodzące na ogród na tyłach domu i był wysoki. Mógłby sprawiać wrażenie przestronnego, gdyby nie straszna tapeta i ciemne, ciężkie meble, liczące co najmniej sto lat. Co gorsza, sprzętów było w nim zdecydowanie zbyt wiele. Gdzieniegdzie tylko oko przybysza ze zdumieniem odkrywało pojedyncze mebelki z óksesu regencji - starsze od reszty, lecz wyjątkowej urody.

Na widok Teodozji dwie starsze damy powstały z foteli. Obie były wysokie i chude, wyprostowane jak struna, obie miały siwe włosy. Ale na tym kończyło się ich podobieństwo.

Jessica, starsza z nich, była niegdyś ładną kobietą o ujmującym uśmiechu i do dzisiaj zachowała ślady urody. Włosy upinała w kok, który, mimo że bardziej przypominał ptasie gniazdo, dowodził fantazji jego posiadaczki. Ciotka miała na sobie elegancką bluzkę z wysokim kołnierzykiem, rozpinany sweter typu kardigan i wąską spódnicę. Teodozja sądziła, że wszystkie te rzeczy musiały być szczytem mody

kilkadziesiąt lat temu, ale że uszyte były z bardzo dobrych materiałów, służyły ciotce do dziś. Trudno byłoby wyobrazić sobie Jessicę ubraną inaczej.

Ciotka Mary nie była podobna do swojej starszej siostry. I ona nie była w młodości brzydka, ale z jej dawnej urody pozostało niewiele. Włosy ściągnięte na czubku głowy w ciasny kok odsłaniały wąską, kościstą twarz z cienkim nosem i zaciśniętymi ustami i podkreślały jej surową i wiecznie, niezadowoloną minę.

Teodozja ucałowała nadstawione policzki ciotek, wyjaśniła im, że została podwieziona do Finchingfield przez znajomego ze szpitala, który również odbierze ją ^utro wieczorem, a potem grzecznie zapytała o zdrowie obu pań.

Panie, owszem, czuły się dobrze, ale chciały dokładnie wiedzieć, kim był ów znajomy Teodozji. Powiedziała im co nieco, niewiele - tyle tylko, żeby zadowolić ich ciekawość i zdusić w zarodku pomysły, które mogły narodzić się w głowie pani Trickey. Informacja o profesorce zrobiła swoje. Ciotki miały brata - Teodozja jak przez mgłę pamiętała surowego wąsatego pana - który był profesorem czegoś tam, więc było jasne, że byle kto nie może legitymować się tym tytułem.

W tym momencie audiencja została zakończona. Teodozję wysłano do jej pokoju, żeby odświeżyła się przed lunchem. Koszyk z Gustawem został w kuchni.

Gustaw nie lubił domu ciotek. Wprawdzie nie spotkały go tu żadne nieprzyjemności, ale nikt poza jego panią nie powiedział do niego nawet jednego słowa. Dopiero w nocy, kiedy wszyscy udali się na spoczynek, Teodozja wykradała się z pokoju i brała go do siebie do łóżka.

Lunch podawano w jadalni, niniejszej od salonu i dość ciemnej, bo jedyne, niewielkie zresztą okno zasłaniały bordowe kotary, a wielki mahoniowy kredens zajmował mnóstwo miejsca. Starsze panie wciąż hołdowały stylowi, który obowiązywał w czasach ich młodości: na stole leżał sztywno wykrochmalony biały obrus, srebro było stare i wypolerowane do połysku, a posiłki podawano na porcelanie należącej do ich rodziców. Niestety, jedzenie nie dorównywało wyglądowi stołu. Żadna z ciotek nie gotowała, a kulinarne zdolności pani Trickey były bardzo ograniczone. Teodozja jadła niedopieczoną wołowinę z kapustą i twardawymi ziemniakami, krakersy z serem stilton i odpowiadała na pytania.

Po lunchu, siedząc między nimi w salonie, robiła co się da, żeby w miarę barwnie opisać swoją pracę w szpitalu. Pytania ciotki Jessiki, życzliwej z natury, były do zniesienia, ale ciotka Mary bywała czasem złośliwa. Mima to Teodozja lubiła je obie. Traktowały ją życzliwie, chociaż Teodozja nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zachowują się tak z poczucia obowiązku.

Kiedy ciotkom wyczerpały się pomysły na pytania, powrócił temat świąt Bożego Narodzenia.

- Oczywiście spędzisz je z nami, kochana - zaczęła ciotka Jessica. - Pani Trickey przygotuje nam jedzenie wcześniej niż zwykle. Zamówiłam już indyka u pana Greenhorna. A w przyszłym tygodniu zrobimy pudding.

- Mamy prawdziwe szczęście - wtrąciła się ciotka Mary. - Kiedy się pomyśli, ile młodych dziewcząt zmuszonych jest spędzić Boże Narodzenie samotnie, to...

Przerwała i zadumała się nad swoimi słowami, które,

jak słusznie wydedukowała Teodozja, zostały wypowiedziane po to, żeby przypomnieć jej, jaką wdzięczność winna czuć wobec obu pań za to, że spędzi święta na łonie rodziny.

Punktualnie o wpół do piątej Teodozja pomogła pani Trickey wnieść tacę z herbatą, po czym we trzy zasiadły do podwieczorku przy małym stoliku w salonie. Jadły kupione w sklepie ciasto i piły herbatę z delikatnych porcelanowych filiżanek. Potem grały w wista, robiąc jedynie krótką przerwę na wysłuchanie wiadomości. Radiowych, rzecz jasna, ciotki bowiem nie uznawały telewizji.

Pani Trickey poszła do domu i kolację, zimną oczywiście, podała Teodozja. A kiedy wszystko zostało zjedzone, polecono jej pójść spać. Po tak długiej podróży należy przecież odpocząć...

Pokoje na górze były niedogrzone. W wielkiej łazience przerobionej przed laty z sypialni było jeszcze zimniej. Teodozja nie próbowała nawet kąpieli w stojącej na środku wannie; z doświadczenia wiedziała, że z kranu zawsze cieknie letnia woda. Umyła się szybko i wskoczyła do łóżka. Musi pamiętać, żeby, jadąc tu na święta, wziąć z domu termofor...

Leżała bez ruchu, nasłuchując odgłosów z pokojów ciotek. Żeby nie zasnąć, myślała o profesorze Bendincku. Ciekawe, co teraz porabia? Jak daleko stąd mieszka? Czy ma żonę i dzieci, z którymi spędzi Boże Narodzenie? Pewnie tak. Puściła wodze wyobraźni. Jego żona musi być ładna. I zawsze dobrze ubrana. Mają dwoje albo nawet troje dzieci. Oraz psa. Pokiwała głową. Na pewno mają psa i parę kotów... Obudziła się kilką godzin

później, ze stopami zimnymi jak sople lodu. Natychmiast przypomniała sobie o Gustawie, samotnym w nieprzytulnej kuchni.

Cichutko zeszła na dół. Znalazła go na jednym z krzesel. Miał zrezygnowaną minę i wydawał się czuć bardzo osamotniony. Przytuliła go serdecznie i zaniósła na górę. Gustaw był lepszy od termofora. Spali razem do samego rana, a potem Teodozja, niezauważona przez nikogo, odniosła kota do kuchni. Porządek niedzieli był zawsze taki sam: najpierw pani Trickey, już w kapeluszu, smażyła jajecznicę, potem następował wymarsz do kościoła. Ciotki zakładały eleganckie spódnice i szyte na miarę płaszcze o fasonach dokładnie takich, jakie obowiązywały pięćdziesiąt lat temu. Dopełnieniem stroju były filcowe kapelusze - identyczne w kształcie i kolorze. Teodozja miała na sobie swoje zimowe paletko. Wkładała też mały, aksamitny kapelusik, któryjoipiła specjalnie na okoliczność wizyt w Finchingfield.

Miejscowy kościół był stary, bardzo piękny i zawsze udekorowany kompozycjami ze świeżych kwiatów, których zapach wypełniał chłodne wnętrze. Parafia nie była zbyt liczna, ale wszyscy wierni umieli śpiewać i śpiewali chętnie. Teodozja chodziła tam z wyraźną przyjemnością.

Po nabożeństwie ludzie rozchodzili się niespiesznie, wymieniając ukłony i pozdrowienia ze znajomymi i sąsiadami, a w końcu z samym proboszczem, który żegnał wszystkich, stojąc w drzwiach kościoła.

Potem następował powrót do domu, lunch - zimny, z wyjątkiem gotowanych jarzyn, bo w niedziele po śnia-

daniu pani Trickey szła do domu - i popołudnie spędzone na czytaniu gazet i ploteczkach. Teodozja podała podwieczorek, a potem zmyła naczynia w staroświeckim, kamiennym zlewie. Znowu zrobiło się zimno, więc, nieproszona, znalazła w spiżarni puszkę zupy i zostawiła przygotowaną do podgrzania na kolację. W końcu napełniła gorącą wodą termofory i wsunęła je ciotkom do łóżek.

Żadna z nich nie uznawała ułatwień. Uważały, że w dzisiejszych czasach ludzie zbyt sobie pobłażali. One prowadziły spartańskie życie i wydawały się całkiem z tego zadowolone. Jednak Teodozja czuła się lepiej, wiedząc, że wieczorem będzie im ciepło.

Profesor przyjechał punktualnie o wpół do siódmej. Teodozja czekała w drzwiach, żeby go przywitać, i raczej nieśmiało zapytała, czy nie zechciałby poznać jej ciotek. W salonie powitały go obie - ciotka Jessica życzliwie jak wszystkich, ciotka Mary mniej życzliwie. Nie nosił przecież brody. Ale pomimo to musiała przyznać, że profesor Bendinck ma nieskazitelne maniery.

Wobec tego zaproponowano mu coś do picia. Z żalem odmówił, potem złożył uroczyste zapewnienie, że będzie ostrożnie prowadzić samochód i wyraził zadowolenie z poznania obu pań. W końcu wziął koszyk z Gustawem i torbę, ujął Teodozję pod ramię i z całkowitą swobodą poprowadził ją do wyjścia.

Ciotki, całkowicie zawojowane, odprowadziły ich do drzwi, a w progu Jessica głosem przywykłym do komenderowania wyraziła życzenie, żeby odwiedził je znowu.

- Serdecznie zapraszamy za każdym razem, kiedy przywiezie pan Teodozję - zakończyła.

Teodozja miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. Wolałaby teraz być wszędzie, ale nie obok profesora w samochodzie. Po niebezpiecznie przedłużającej się chwili milczenia przełknęła ślinę i zaczęła mówić.

- Ciotki robią się coraz starsze. Wyjaśniłam im przecież, że przyjęłam pańską propozycję, chociaż właściwie się nie znamy, a jedynie pracujemy w tym samym szpitalu.

Finchingfield zostało w tyle. Profesor wjechał właśnie na szosę wiodącą do Londynu.

- To naturalne, że chcą się czegoś o mnie dowiedzieć - powiedział uspokajającym tonem. - Kto wie? Może kiedyś jeszcze będę tędy przejeżdżał.

Po tych słowach napięcie w samochodzie zelżało i wszystko wróciło do normy. A Teodozja odkryła, że % obecności tego mężczyzny nie można długo czuć się niezręcznie.

- Czy miał pan miły weekend? - zapytała. Nie z grzeczności. Naprawdę chciała to wiedzieć.

- Bardzo. A pani? Od czasu do czasu każdy potrzebuje kilku spokojnych dni z daleka od szpitala, prawda?

Może nie aż tak bardzo spokojnych, pomyślała Teodozja. I na dodatek nie w towarzystwie ciotecznych babek. Ale zaraz poczuła wstyd. Przecież jej wizyty naruszały porządek ich spokojnego życia. Nie powinna być taka niewdzięczna!

- Może zjedlibyśmy coś po drodze? - zaproponował profesor. - Chyba że spieszy się pani do domu...
Muszę

jechać prosto do szpitala i nie będę miał czasu na jedzenie. Znam dobre miejsce niedaleko stąd.

- Pracuje pan w niedzielny wieczór!? Nie do wiary!

- zawołała zdumiona i zaskoczona Teodozja.

- Ależ nie. Chcę tylko sprawdzić stan jednej z moich pacjentek. Kiedy wrócę do domu, będzie za późno na kolację.

- W takim razie musimy się zatrzymać. Nie może pan iść do pracy o pustym żołądku. - Po czym dodała szczerzej— Ja też jestem dosyć głodna.

- To świetnie. Nie mógłbym zająć się stekiem, patrząc, jak pani skubie nędzny listek sałaty.

Zatrzymali się na małym rynku w Great Dunmow. Profesor zaprowadził ją do restauracji, która okazała się bardzo przytulna i miła. A, co najważniejsze, jedzenie było znakomite. Profesor rzeczywiście zamówił wielki stek, a Teodozja rozkoszowała się solą z rusztu. Na deser zjedli tradycyjny bread-and-butter pudding, który, co zgodnie stwierdzili oboje, był absolutnie doskonały. Nie spieszyło się im do wyjścia.

Teodozja zreflektowała się dopiero przy kawie.

- Powinniśmy już jechać! - zawołała i poderwała się.

- Inaczej wcale nie pójdzie pan dzisiaj spać. Jest już po dziewiątej, a pana czeka jeszcze wizyta u pacjentki.

Profesor nie zwracał uwagi na porę. Z przyjemnością spędzał czas w towarzystwie Teodozji, która mówiła otwarcie to, co myśli. Bawiła go. Niczego nie udawała, jak inne dziewczyny, które znał. Co więcej, nie narzekała na los i wydawała się osobą szczęśliwą. Nie pamiętał, kiedy ostatnio śmiał się tak często. A wszystko dzięki

niej. Szkoda, że po powrocie do Londynu prawdopodobnie się nie spotkają. Niestety, chodzili zupełnie innymi ścieżkami.

Żałował, że reszta podróży minęła tak szybko. Zaciekawiony, słuchał miłego głosu Teodozji, którym wygłaszała opinie o tym i o owym. Ze zdziwieniem zauważył, że nigdy nie mówi o sobie.

Pod domem pani Towzer wysiadł pierwszy, otworzył jej drzwi, wziął torbę i koszyk z Gustawem i zaniósł je na górę. Nie wszedł jednak do jej pokoiku na poddaszu. Nie zapraszała go przecież. Na pożegnanie podała mu rękę i podziękowała za kolację i wspólną podróż.

- To była dla mnie prawdziwa przyjemność. Dziękuję. - Spojrzała na niego swoimi łagodnymi szarymi oczami. - Mam nadzieję, że uda się panu wypaść. Kiedy się pracuje tak intensywnie, trzeba pamiętać o wypoczynku.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, życzył jej dobrej nocy i zbiegł na dół do samochodu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Poniedziałek! Znowu poniedziałek, i co gorsza - zimny i ponury. Teodozja wróciła z łazienki na półpiętrze, trzęsąc się z zimna. Wychodząc do pracy, z zazdrością patrzyła na Gustawa zwiniętego rozkosznie na kanapie.

Na dworze padał śnieg z deszczem. Nawet osoba tak pogodna jak Teodozja z ciężkim sercem myślała o czekającym ją dniu. Westchnęła ciężko i nagle się uśmiechnęła. Nie było tak źle. W najbliższą sobotę zarząd szpitala wydawał doroczny bal, na który wybierała się z kilkoma znajomymi z administracji.

Nie spodziewała się, że zostanie zaproszona przez któregoś ze studentów medycyny, odbywających praktyki w ich szpitalu, ani przez młodych ludzi pracujących w dziale obliczeniowym. Była z nimi w dobrych stosunkach, lubili się nawet, ale wokół nich kręciło się tyle atrakcyjnych dziewcząt, że Teodozja nie liczyła na żadną propozycję. Ale to jej wcale nie zrażało. Na poprzednie bale też chodziła sama i ani razu nie narzekała na brak partnerów do tańca. Teodozja uwielbiała tańczyć.

- Muszę pomyśleć o nowej sukni - mruknęła do siebie.

Jedna jedyna balowa kreacja, którą miała w szafie, była trochę zniszczona. Nic dziwnego. Służyła jej przez trzy ostatnie karnawały. Kilkakrotnie w ciągu dnia Teo-

dozja wracała do tej sprawy. W tej chwili nie stać jej było na nic nowego. Nie ma mowy! Jedynym rozwiązaniem były sklepy z używanymi rzeczami. Postanowiła w najbliższym czasie pojechać do centrum. Na szczęście Londyn jest znany z tego, że między modnymi butikami można trafić na sklepy Oxfamu czy innych instytucji charytatywnych, w których czasem można znaleźć prawdziwe skarby... We wtorek Teodozja zrezygnowała więc z obiadu i po wybląganiu u panny Prescott dodatkowej wolnej godziny, wsiadła w autobus i pojechała na Oxford Street.

Profesor Bendinck siedział w taksówce, która utknęła w korku, i przeklinał w duchu chwilę, w której wybrał ten właśnie środek lokomocji. Dla zabicia czasu obserwował toczące się wokół życie - tłumy ludzi na chodnikach, oświetlone witryny sklepowe, świąteczne dekoracją... Nagle jego uwagę zwróciła miedzianoruda czupryna. Czy to możliwe, żeby w mieście były dwie dziewczyny o tak niezwykłych włosach?

Sklep Oxfamu był oświetlony jasnymi, prostymi żarówkami, bez żadnych ekstrawagancji. Klienci powinni dobrze widzieć to, co kupują.

Teodozja znalazła na wieszaku gołębioszarą suknię i podeszła z nią do okna, żeby dokładnie ją obejrzeć. Profesor widział, jak sprawdza metkę, cenę, wszystkie szwy. Jaka szkoda, że właśnie wtedy sznur pojazdów drgnął i taksówka powoli ruszyła. Niespodziewanie zrobiło mu się przykro, że Teodozja zmuszona jest kupować używaną garderobę.

Tymczasem ona, na szczęście nieświadoma, że była obserwowana, kupiła tę suknię. Wieczorem przymierzyła ją jeszcze raz i ukradkiem wymknęła się do łazienki, żeby przejrzeć się w jedynym w domu dużym lustrze.

Suknia była do przyjęcia. Należało ją tylko nieco zwięzić i zmniejszyć dekolt, bo był zdecydowanie za głęboki. Teodozja postanowiła nie czekać z poprawkami. Wyciągnęła koszyczek z nićmi i natychmiast zabrała się do roboty. Mimo że miała zręczne palce i umiała nieźle szyć, przerobienie sukienki tak, żeby efekt odpowiadał wymaganiom, zajęło jej kilka wieczorów. Na szczęście idę sama, pocieszała się. W takim tłumie nikt nie będzie patrzeć, co mam na sobie.

Panna Prescott również wybierała się na bal - uważała, że to jej obowiązek - ale podczas pracy wszelkie rozmowy na ten temat były ściśle wzbronione. Teodozja została surowo zganiona, kiedy ośmieliła się zapytać, w co ubierze się panna Prescott. Szefowa uznała pytanie za impertynenckie. Teodozja, która chciała być tylko miła, zrobiło się przykro.

W sobotę wieczorem Teodozja ubrana i starannie umalowana znów stanęła przed lustrem w łazience na półpiętrze. W świecie słabej żarówki wszystko wydawało się w największym porządku. Na szczęście na balach światło jest także przyćmione. Gdyby tylko było ją stać na modne sandałki na wysokich obcasach! Niestety, musiała zadowolić się srebrnymi pantofelkami - niezbyt modnymi, ale przynajmniej wygodnymi, jak się pocieszała.

Nakarmiła jeszcze Gustawa, sprawdziła, czy jest mu wygodnie, i ubrana w zimowe palto, wyszła z domu. Znowu padało.

Podjazd zastawiony był samochodami. Na doroczny bal zapraszano wszystkich członków rady nadzorczej szpitala wraz z żonami, burmistrza dzielnicy z małżonką i wszystkie ważne osoby, które w ten lub inny sposób związane były ze szpitalem św. Aldwyna. Teodozja wślizgnęła się bocznym wejściem, odnalazła znajomych i razem z nimi weszła do sali, w której grała już orkiestra i panował iście świąteczny nastrój. W rogu stała wielka choinka, ściany zawieszane były ozdobami, z żyrandoli zwieszały się papierowe łańcuchy i wielkie pęki balonów. Błyskały kolorowe światełka, a na parkiecie tańczyło już wiele par.

Teodozja prawie natychmiast została poproszona do tańca. Niestety, jej partner, młody technik z laboratorium analitycznego, okazał się koszmarnym tancerzem. Pocieszała się, że lepsze to niż podpieranie ścian.

Na szczęście orkiestra zrobiła sobie krótką przerwę. Kiedy po chwili rozległy się pierwsze takty slow-foksa, podszedł do niej jeden ze studentów, z którym kilka razy umawiała się na randki. Opowiedział jej ze szczegółami o sekcji, którą po raz pierwszy w życiu przeprowadził dzisiaj rano, a ona skupiała całą uwagę na tym, żeby powstrzymać odruch wymiotny. Nie chciała mu jednak przerywać, świadoma, że chłopak musi się wygadać. Młody medyk był jej tak wdzięczny, że przetańczył z nią kilka kawałków, co dało mu szansę opisu swojego doświadczenia z najdrobniejszymi, dość makabrycznymi detalami.

Z wdzięcznością przyjęła jego propozycję pójścia do baru, uznała bowiem, że należy się jej coś do picia.

Kilka razy widziała profesora Bendincka. Tańczył z elegancko ubraną panią w średnim wieku, potem ze znaną Teodozji pielęgniarką z kobiecej interny, a w końcu z żoną burmistrza.

On też ją zauważył, bo trudno było nie dojrzeć na parkiecie jej rudej czupryny. Kiedy już obtańczył wszystkie panie, z którymi miał obowiązek zatańczyć, zrobił dyskretny obchód sali. Znalazł Teodozję w towarzystwie jednego z inżynierów. Jedli właśnie lody. Przywitał się uprzejmie z obojgiem i po kilku minutach rozmowy z młodym człowiekiem wyciągnął Teodozję na parkiet.

- Powinien mnie pan najpierw poprosić do tańca -zaśmiała się Teodozja z naganą.

- Mógłbym dostać kosza. Czy dobrze się pani bawi, Teodozjo?

- Tak, dziękuję.

Co nie było kłamstwem, gdyż właśnie teraz zaczęła się dobrze bawić. Orkiestra grała kolejnego slow-foksa. Profesor uśmiechnął się pod wąsem. Podczas tak ważnego balu dyrekcja szpitala nie pozwoliłaby na żadne nowoczesne tańce! Podskakiwanie i wymachiwanie rękami w takt żywej muzyki nie licowałoby z powagą szacownych gości. Co innego slow-fox. To całkiem przyjemny taniec. Szczególnie gdy tańczy się z sympatyczną kobietą.

Bendinck natychmiast rozpoznał gołębioszarą suknię. Na swój skromny sposób była zupełnie niebrzydka, ale zdecydowanie za duża na Teodozję. Z zawodową spostrzegawczością od razu dostrzegł zakładki na ramionach i precyzyjne, ręczne szwy w talii. Przyszło mu do głowy, że chciałby kiedyś wziąć tę dziewczynę do dobrego skle-

pu. Kupienie jej eleganckiej sukni sprawiłoby mu niekłamana przyjemność. Teodozja umiałaby ją nosić. Z taką figurą - na pewno! Zaśmiał się w duchu z tego absurdalnego pomysłu i zapytał grzecznie o nadchodzące święta.

- W tym roku z powodu niedzieli mamy aż trzy wolne dni - cieszyła się Teodozja.

Ale ton jej głosu był bardziej entuzjastyczny niż wewnętrzne odczucia. Trzy dni spędzone w towarzystwie ciotek nie wydawały się perspektywą zbyt kuszącą. Nawet dla Teodozji, wyrzucającej sobie niewdzięczność wobec jedynych krewnych, jaką miała.

- Moje ciotki uznają tylko tradycyjne Boże Narodzenia - dorzuciła.

Profesor mógł zrozumieć to zdanie tak, jak chciał. Miała nadzieję, że pomyśli o rozświetlonej świetelkami choince, stole zastawionym pysznym jedzeniem i stosach prezentów...

Nie doceniała go. Profesor Bendinck domyślał się, jakie będą jej święta. Ale wiedział, że nie powinien współczuć Teodozji. Nie było takiej potrzeby. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto by z podobnym samozaparciem nie narzekał na własne życie i, co ważniejsze, umiał cieszyć się każdą chwilą, którą można było się cieszyć. Mimo wszystko życzył tej dziewczynie z całego serca, żeby jej święta były inne, lepsze.

Z trudem powstrzymał pragnienie, żeby przetańczyć z nią resztę wieczoru, i trzymając ją szarmancko pod ramię, odprowadził do inżyniera. Ale nie odszedł od razu, tylko spędził z nimi chwilę, rozmawiając i żartując.

Dopiero pod koniec balu postanowił odnaleźć Teodozję. Bacznie obserwował ludzi kłębiących się przy drzwiach wyjściowych. Wypatrzył w końcu wyróżniającą się z tłumu rudą czuprynę.

- Teodozjo! - Złapał ją lekko za ramię. - Mój samochód stoi tuż obok.

- Ależ dziękuję... Nie ma takiej potrzeby... Przecież to tylko krótki spacer.

Mogła darować sobie tę przemowę, bo i tak została delikatnie wyciągnięta z tłumu. Po chwili siedziała już w samochodzie i posłusznie kiwnęła głową, słysząc, że powinna zapiąć pasy. Odzyskała zdolność mówienia dopiero wówczas, kiedy wyjechali z parkingu na ulicę.

- To całkiem nie...

- Tracisz czas, Teodozjo - powiedział i nie odezwał się, dopóki nie stanęli pod domem pani Towzer. Światło nad drzwiami wejściowymi było oczywiście zgaszone, a cała ulica, oświetlona słabym światłem latarni sprawiała w nocy raczej ponure wrażenie. Samotny powrót do domu nie należałby do przyjemności...

Zgodnie ze swoim zwyczajem, profesor wysiadł pierwszy i obszedł samochód, żeby pomóc wysiąść Teodozji. Wyjął jej z ręki zawczasu przygotowany klucz, otworzył drzwi wejściowe i przekreślił kontakt w korytarzu.

- Dziękuję za podwiezienie. Dobranoc - szepnęła, żeby nie zbudzić gospodyni, i wyciągnęła rękę po klucz.

Zdejmując buty, zauważyła ze zdziwieniem, że profesor nie wychodzi, tylko bezszelestnie zamyka drzwi za sobą. Jej zdziwienie jeszcze wzrosło, kiedy wziął jej buty i poszedł za nią na górę. Bała się, że narobi hałasu. Ale

nie narobił. Szedł tak uważnie, że żaden stopień nie zaskrzypiał pod jego stopami.

Musiała przyznać, że cieszy się z jego towarzystwa. Pani Towzer zainstalowała na schodach żarówki, które gasły automatycznie, zanim zdążyło się dojść do podestu na półpiętrze, i trasa na poddasze nie należała do przyjemnych.

Kiedy dotarli na miejsce, profesor znowu wyjął klucz z jej ręki, otworzył drzwi i usunął się z drogi, żeby Teodozja mogła wejść do środka.

- Bardzo dziękuję - szepnęła. - Proszę schodzić ostrożnie, bo światło może zgasnąć w każdym momencie.

Profesor równie cichym głosem zapewnił ją, że oczywiście będzie uważał i że zatrzaśnie drzwi wejściowe.

Potem, w samochodzie, zastanawiał się, dlaczego, do diabła, jej nie pocałował, skoro tak bardzo tego chciał.

Jeśli zaś chodzi o Teodozję, która chwilę później usiadła na łóżku, ściskając w objęciach zgadzającego się na wszystko Gustawa, to w jej głowie kłębiły się bardzo przyjemne myśli, a wszystkie obracały się wokół osoby profesora.

Myśli te nie opuściły jej aż do następnego poranka i dopiero podczas szybkiej przechadzki do parku Wiktorii i z powrotem zdołała sobie wytłumaczyć, że wydarzenia wczorajszej nocy są efektem dobrego wychowania profesora. Człowiek pokroju profesora Bendincka nie mógłby dopuścić, żeby kobieta samotnie wracała do domu w środku nocy. Uspokojona, wróciła do domu na herbatę, a potem wybrała się do najbliższego kościoła na niedzielne nabożeństwo, żeby prosić Boga o szczęśliwy tydzień.

Kiedy jednak w poniedziałek otworzyła list od ciotek, nie była pewna, czy jej modlitwy zostały wysłuchane. W głębi ducha wydawało się jej, że los sobie z niej zakpił.

Teodozja otrzymała ni mniej, ni więcej tylko pisemne polecenie od ciotki Jessiki, żeby zrobić przedświąteczne zakupy w sklepie Fortnum & Mason, najbardziej luksusowym magazynie z żywnością w całym mieście. Do listu dołączony był spis produktów, które, jak napisała ciotka - „mogłabyś przywieźć do Finchingfield w najbliższy weekend”.

Figurowały na nim takie wiktuały jak: wiejska szynka z kością, wędzony łosoś, masło koniakowe, ser stilton, herbatniki Bath Oliver, francuskie marrons glacés, kenijska kawa w ziarnach, herbata Earl Grey najlepszej jakości, brzoskwinie w koniaku... Na takie zakupy prawdopodobnie nie wystarczyłaby tygodniowa szpitalna wypłata, nie mówiąc o tym, że Teodozja najzwyczajniej w świecie nie miała tyle pieniędzy na zbyciu.

Zajrzała do koperty z rozpaczliwą nadzieją, że przeoczyła dołączony do listu czek lub kilka banknotów, ale niczego nie znalazła. Trudno, nie pozostaje jej nic innego jak wyjąć z konta niewielkie oszczędności, które z takim trudem udało się jej uzbierać. Jeśli jutro nie zje obiadu, zdąży pójść do banku. Nic się nie stanie. W sobotę ciotka Jessica odda jej pieniądze, a ona włoży je na konto zaraz po powrocie do Londynu.

Dopiero w środę nadarzyła się okazja, żeby wyjść z pracy podczas przerwy obiadowej. Teodozja zbiegła na dół w wielkim pośpiechu, gdyż postanowiła od razu kupić żądane rzeczy. Nie miała ani chwili do stracenia.

Profesor Bendinck zobaczył ją, idąc do samochodu, jak z rozwianym włosom biegła przez parking w stronę przystanku autobusowego. Zanim zdążyła dobiec do ulicy, on zręcznie przeciął jej drogę. I znowu, tak jak kiedyś, wpadła na niego z całym impetem, nie będąc w stanie ominąć jego masywnej postaci.

- Dzień dobry, profesorze - wydyszała. - Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać.

Była to naprawdę daremna uwaga, gdyż profesor trzymał ją mocno za ramię i nie zamierzał puścić.

- Podwożę cię, jeśli się spieszysz. Nie możesz tak pędzić, bez względu na to, dokąd biegniesz.

- Owszem, mogę.

- Dokąd? - zapytał krótko.

I Teodozja, mimo że wcale nie musiała mu odpowiadać, powiedziała:

- Najpierw do banku, a potem do Fortnuma i Masona. Odwrócił ją bez słowa- poprowadził do swojego samochodu. Odezwał się dopiero, kiedy usiedli w środku.

- A teraz wytłumacz mi, proszę, dlaczego to jest takie pilne.

Prawdopodobnie takim tonem, łagodnym i przekonującym, mówił do swoich pacjentów. Teodozja nie mogła mu nie odpowiedzieć, chociaż mówiła beładnie, przez cały czas zerkając na zegarek.

- I teraz, jeśli pan pozwoli, muszę jak najprędzej złapać autobus.

- Nie pozwolę. Czy możesz powiedzieć, co konkretnie masz kupić?

Podawała mu listę.

253

- O, proszę! Jak widać, wszystkie te rzeczy są dość drogie, ale ciotka Jessica nie przejmuje się pieniędzmi. Zapłaci mi, kiedy się spotkamy. I dlatego teraz muszę iść do banku...

- To zajmie strasznie dużo czasu - wpadł jej w słowo. - Pojedziemy prosto do Fortnuma i Masona. Zapłacę za wszystko, a ciotka odda pieniądze mnie. Tak się składa

- ciągnął tonem, którym byłby w stanie przekonać najbardziej srogiego sędziego sądu najwyższego - że w tę sobotę znowu jadę do Braintree. Podwiozę cię i równocześnie dostarczę paczkę z zakupami. Teodozja otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, potem ją zamknęła. W końcu udało się jej wyjąkać:

- Przecież teraz? ma pan godzinną przerwę na lunch, prawda?

- Tak, na całe szczęście. A zatem jedziemy na zakupy.

- Jeśli uważa pan, że to w porządku...

- Absolutnie w porządku. Co więcej, to jedyna sensowna rzecz, którą możemy teraz zrobić.

Kiedy dojechali na miejsce i weszli do środka, profesor oddał listę uprzejmemu młodemu człowiekowi z prośbą, aby wszystko było gotowe i zapakowane w ciągu najbliższej półgodziny, a sam zaprowadził Teodozję do restauracji.

- Tutejszy dział sprzedaży sam wszystkiego dopilnuje

- wyjaśnił. - Będzie szybciej i wygodniej, a my w tym czasie zjemy coś zjeść.

- Ale czy nie powinnam wybrać tego sama?

- Nie, nie ma potrzeby. Należy zostawić to fachowcom. Po to tutaj są. Na co masz ochotę? Mamy tylko

pół godziny, więc może zjemy omlet z frytkami i sałatą, i kieliszkiem białego wina?

Jedzenie było wspaniałe, tym wspanialsze, że zupełnie nieoczekiwane. Teodozja, która wciąż nie mogła otrząsnąć się z zaskoczenia, zadziwiona talentami organizacyjnymi profesora i szybkością, z jaką przejął inicjatywę, nie była pewna, czy dobrze zrobiła, pozwalając mu na to. Ale że było za późno na wszelkie tego typu rozważania, postanowiła miło spędzić czas. W końcu podobne przyjemności nieczęsto się jej zdarzały.

I tak zjadła lunch, rozkoszując się każdym kęsem, wypila wino, a potem filiżankę kawy i znowu znalazła się w dziale spożywczym, gdzie czekała na nich pięknie zapakowana paczka, którą profesor polecił portierowi zanieść do samochodu. Teodozja również miała tam na niego czekać. Widziała przez szybę, jak podchodzi do kasy i daje napiwek portierowi.

- Ile to wszystko kosztowało? - zapytała z niepokojem w głosie, kiedy profesor usiadł za kierownicą.
- Czy nie byłoby dobrze - zapytał w tej samej chwili - żebym zawiózł paczkę do siebie do domu? Nie ma sensu jej otwierać. W środku są na pewno wszystkie pozycje z listy. Mam zresztą paragon.
- Ale dlaczego mam przysparzać panu dodatkowych kłopotów? I co powie na to pańska żona?
- Nie jestem żonaty, a moja gospodyni bezpiecznie przetrzyma te produkty do soboty.
- Skoro to naprawdę nie jest kłopot... Ile kosztowały wszystkie te rzeczy?
- Nie pamiętam dokładnie, ale pani ciotka musi zda-

wać sobie sprawę z cen w Fortnum & Mason. Rachunek wydawał się rozsądny. Jest w bagażniku razem z paczką, ale zaraz mogę go przynieść.

- Ależ nie. Wszystko musi być w porządku. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Podróż do szpitala minęła im błyskawicznie. Profesor znał takie skróty, że po zaparkowaniu okazało się, że Teodozja ma jeszcze całe pięć minut do końca przerwy. Dwie z nich spędziła dziękując mu - niezbornie, ale szczerze, wciąż przejęta jego troską, zachwycona lunchem i zawstydzona tym, że zabrała mu tyle cennego czasu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - skłonił głowę z uśmiechem, z trudem powstrzymując się, żeby nie pocałować jej w czubek nosa.

Potem wysiadł z samochodu, otworzył jej drzwiczki i poradził, żeby raczej pobiegła na górę.

Miał rację. Ale ani ostry język, ani humory panny Prescott nie były stanie popsuć Teodozji dnia. Ona sama nie była pewna, dlaczego czuje się szczęśliwa. Codziło o zakupy, oczywiście. To cudownie, że wszystko poszło tak gładko. I lunch. I miła perspektywa jazdy samochodem do Finchingfield. Ale to wszystko nie to. Czowała się szczęśliwa, dlatego że profesor był blisko. I dlatego, że nie miał żony.

Do końca tygodnia nie spotkała go ani razu, ale w piątek wieczorem, kiedy wychodziła ze szpitala, w portierni czekała na nią wiadomość. Czy zechciałaby być gotowa jutro o dziesiątej rano? Tym razem nie było wątpliwości, że główny portier, powtarzając informację, popatrzył na nią z błyskiem ciekawości w oku. Przez lata pracy tutaj

przekazywał wiele podobnych wiadomości, ale nigdy od profesora!

- Jedziemy do ciotek - oznajmiła Teodozja Gustawowi. - Tym samym wspinałym samochodem.

Chyba jesteś zadowolony, prawda?

Potem spędziła cały wieczór na przygotowaniach do jutrzejszej podróży - umyła włosy, z niepokojem obejrzała twarz w poszukiwaniu ewentualnych pryszczycy, zrobiła manicure i nakryła stół do śniadania.

W żadnym wypadku nie mogła kazać profesorowi czekać!

Kiedy punktualnie o dziesiątej zeszła na dół, okazało się, że profesor już tam był. Oparty o drzwi, słuchał nader szczegółowej opowieści pani Towzer o jej chorych żyłakach z taką uwagą, jakby była jedną z jego prywatnych pacjentek.

Na widok Teodozji pani Towzer przerwała potok wymowy.

- Resztę opowiem panu następnym razem - zaproponowała. - Teraz na pewno spieszno wam, gołąbki, wyruszyć w drogę.

Mówiąc to, pokiwała głową i puściła oko do profesora. Teodozja, czerwona ze wstydu, powiedziała obojgu dzień dobry. Starła się unikać wzroku profesora, choć kątem oka zauważyła jego lekki uśmiezek. Ale w jego towarzystwie nie sposób było czuć zakłopotania. Wszystko minęło, kiedy tylko wsiadła z nim do samochodu. Więcej, Teodozji na tyle poprawił się humor, że odwróciwszy się, pomachała na pożegnanie pani Towzer. Nie wypadało nie podzielić się swoim szczęściem, kiedy jej gospodyni zostawała w Londynie, w progu odrapanego

domu z widokiem na rzędy innych, podobnie odrapanych budynków.

Teodozji nie przeszkadzał ani chłód ponurego poranka, ani ołowiane niebo ścielące się nisko nad głowami.

- Chyba spadnie śnieg - powiedziała.

- Prawdopodobnie. Ale jeszcze nie teraz. Powinienem zdążyć dowieźć cię do ciotek, zanim zaczną padać.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Czy wybierasz się jeszcze do nich przed Bożym Narodzeniem?

- Nie, skądże. Dzisiejszy wyjazd jest zupełnie niespodziewany. Chodzi tylko o przywiezienie im zakupów.

I żeby nie pomyślał, że przymawia się o podwiezienie, dodała:

- A pan? Spędza pan święta w Londynie, jak sądzę? Potwierdził tonem wprawdzie bardzo uprzejmym, ale nie zachęcającym do dalszych pytań i Teodozja zrozumiałwszy jego intencje, zamilkła. Jednak kiedy cisza przedłużała się, zaczęła rozmowę o pogodzie, który to temat, jak wiadomo, od wieków pozwala Brytyjczykom wybrnąć z wszelkich kłopotliwych sytuacji.

Ale o pogodzie nie da się rozmawiać w nieskończoność. Teodozja zamilkła i odwróciła się do profesora z uśmiechem.

- Nie będę pana dalej zanudzać. Taka podróż to dobra okazja, żeby oddać się rozmyślaniom, a pan na pewno wiele spraw do obmyślenia.

W rzeczy samej, profesor miał wiele spraw do obmyślenia, ale od kiedy wyruszyli z Londynu, myślał tylko o Teodozji. Zastanawiał się już przez dłuższą chwilę,

czy powiedzieć jej, że myśli o mej coraz częściej. Bał się jednak, że mogłoby ją to spłoszyć. Co innego zachowywać się przyjaźnie, co innego deklarować poważniejsze zainteresowanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Teodozja uważa go za osobę nie należącą do jej świata. Wiedział, iż tylko przypadek sprawił, że ich drogi się skrzyżowały. Była dla niego miła, ale to wpływało z jej natury, należała bowiem do osób, które lubią ludzi i traktują przyjaźnie wszystkich, których los postawił na ich drodze, nie wyłączając tej strasznej panny Prescott.

- My nie musimy prowadzić konwencjonalnych rozmów tylko dlatego, że tak wypada, nie sądzisz, Teodozjo?

- Tak, oczywiście. To znaczy, uważam, że bardzo przyjemnie jest być w towarzystwie kogoś i nie martwić się, czy ta osoba nie wolałaby, żeby ciebie przy niej nie było.

Surowy zazwyczaj profesor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Bardzo dobrze to ujęłaś. Czy zatrzymamy się na kawę w Great Dunmow?

Pili kawę i rozmawiali. Profesorowi najwyraźniej się nie spieszyło. Swobodny i rozluźniony, pytał Teodozję o wiele rzeczy. I chociaż były to niezobowiązujące pytania, z jej odpowiedzi wynikało o wiele więcej, niż można byłoby przypuszczać. Teodozja nie narzekała na samotność ani nie zwierzała się ze swoich obaw o własną przyszłość, bo postanowiła poradzić sobie z oboma problemami. Była dzielna, wesoła i pełna nadziei. Nie miała wielkich ambicji i nie zamierzała poświęcić się zawodo-

wej karierze. Bardziej zależało jej na bezpieczeństwie i stabilnej pracy.

- Nie myślałaś nigdy o małżeństwie? - zapytał.

- O, tak! Ale nie za wszelką cenę, jeśli rozumie pan, co mam na myśli - zapewniła go z pełną powagą.

- Miło by było mieć męża i dom. I dzieci.

- Dzisiaj tyle młodych dziewczyn chce przędę wszystkim zrealizować się w pracy: studiują prawo, medycynę albo zarządzanie. Nigdy nie marzyłaś o takiej przyszłości?

Zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie. To nie dla mnie. Po pierwsze nie jestem dość mądra.

- To znaczy, że nie trzeba być mądrym, jeśli wychodzi się za męża? - Kąciki ust uniosły się mu leciutko.

- Mówię o innym rodzaju mądrości. Przecież małżeństwo to nie praca. To styl życia.

- Wyobrażam sobie, że dość. przyjemny, pod warunkiem, że małżeństwo jest szczęśliwe.

Zerknął na zegarek.

- Najwyższy czas jechać - powiedział.

W domu ciotek przywitała ich pani Trickey, w tym samym co zwykle starym kapeluszu, i bez słowa poprowadziła do salonu. Ciotka Jessica wstała na powitanie, a ciotka Mary, nie ruszając się z miejsca, poinformowała ich kwaśnym tonem, że jej stare kości źle znoszą chłody i że zima zrobiła z niej niemal inwalidkę!

Teodozja ucałowała obie panie w policzek i wyraziła współczucie ciotce Mary, modląc się w duchu, żeby jej przemowa nie stała się początkiem przymówek o bezpłatną konsultację medyczną.

Na szczęście niecierpliwe pytania ciotki Jessiki o zakupy pozwoliły na zmianę tematu.

W tej chwili profesor, który już przywitał się z obiema paniami, zaproponował, że wniesie paczkę do domu.

- Prosto do kuchni? - upewnił się.

- Nie, nie. Chcemy odpakować ją tutaj. Potem pani Trickey zanieśe wszystko na miejsce. Czy masz paragon, Teodozjo?

- Właściwie to ma go profesor Bendinck. To on zapłacił za zakupy. Ja nie miałam tyle pieniędzy.

I widząc, że ciotki uznały jej odpowiedź za niewystarczającą, dodała:

- Spotkaliśmy się, wychodząc ze szpitala. Biegłam właśnie do banku. Moja przerwa obiadowa trwa tylko godzinę, więc profesor był tak uprzejmy, że zawiózł mnie prosto do Fortnuma i Masona, oddał zamówienie komuś w dziale spożywczym, a potem zapłacił rachunek.

Ciotka Mary była w szoku.

- Doprawdy, Teodozjo! Młoda kobieta nie powinna przyjmować żadnych pieniędzy od mężczyzny.

Ale ciotka Jessica przyjęła wiadomość ze wspaniałomyślnym uśmiechem.

- Cóż, moja droga. Jesteśmy wdzięczne profesorowi za pomoc. Zaraz wypiszę czek...

- Może lepiej będzie, jeśli da go pani później Teodozji? Przekaze mi go jutro. Przyjadę po nią wieczorem.

Jednak ciotka Mary ani myślała przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego.

- Podejrzewam - zaczęła z surowo zmarszczonymi brwiami - że wydajesz wszystkie pieniądze na stroje.

261

W dzisiejszych czasach młode kobiety nie myślą o niczym innym.

Teodozja miała ochotę odpowiedzieć, że wcale nie kupuje nowych ubrań. Są inne rzeczy, na które ledwo jej starcza - kocie jedzenie, mleko, chleb i ser, herbata i najtańsze gatunki mięsa oraz kilka niezbędnych drobiazgów, bez których ciało i dusza normalnego człowieka nie mogą egzystować. Ale nie odezwała się ani słowem.

- Nie sądzę, żeby Teodozja miała za dużo pieniędzy do stracenia - powiedział profesor, nie kierując swoich słów do żadnej z ciotek. - Nasz szpital nie jest zbyt hojną instytucją.

Uścisnął dłonie dam, a w progu salonu zgiął się niemal wpół i pocałował Teodozję w policzek.

- Do zobaczenia jutro wieczorem.

To mówiąc, odwrócił się, uśmiechnął do wszystkich pań w salonie i wyszedł za panią Trickey, która pojawiła się, żeby odprowadzić go do wyjścia. ^r

Ciotka Jessica nie nadążała za dzisiejszymi zmianami obyczajów - w jej czasach żaden dżentelmen nie ośmieliłby się pocałować panny w publicznym miejscu - ale jako osoba o romantycznej duszy uśmiechnęła się teraz leciutko. Ciotce Mary natomiast obce były takie sentymenty. Chrząknęła z dezaprobatą i przemówiła:

- Jestem zaskoczona, Teodozjo, że pozwalasz jakiemukolwiek mężczyźnie na podobne zachowanie. Pocałunki przy lada jakiej okazji są godnym ubolewania przejawem tak zwanego nowoczesnego życia.

Na co Teodozja zareagowała w jedyny rozsądny sposób:

- Ależ ciociu! Jak zauważyłaś, na nic nie pozwalałam. Jestem równie zaskoczona jak ty. Zapewniam cię jednak, że dzisiaj taki pocałunek jest czymś zwyczajnym. Mnóstwo ludzi wita się albo żegna w ten sposób.

Ale w głębi duszy była zachwycona.

- Czy mam teraz rozpakować przywiezione jedzenie?

- zapytała natychmiast, żeby umożliwić dalszą rozmowę o profesorze.

To zadanie zajęło jej dobrą chwilę i bardzo skutecznie odwróciło uwagę ciotek.

Poza przedpołudniowymi wydarzeniami ten weekend niczym nie różnił się od pozostałych. Głównym tematem rozmów było nadchodzące Boże Narodzenie.

- Oczekujemy cię w Wigilię w porze podwieczorku

- oznajmiła ciotka Jessica. - Taka godzina odpowiadałaby nam najbardziej.

Taka godzina odpowiadała również Teodozji. W Wigilię szła do pracy jak zwykle. Przecież nawet na czas świąt należy zaplanować pacjentom dietę. Teodozja wiedziała, że tego dnia czeka ją więcej bieganiny niż zwykle, i będzie miała szczęście, jeśli uda jej się zdążyć na odpowiedni pociąg. Musi pamiętać, żeby sprawdzić rozkład jazdy...

Dopiero późnym wieczorem w łóżku, z Gustawem skulonym u jej boku, pozwoliła sobie pomyśleć o profesorze. To naturalne, że pocałował ją na pożegnanie. W dzisiejszych czasach takie zachowanie jest zupełnie zwyczajne - przekonywała siebie, tak jak poprzednio przekonywała ciotki. Ale rzecz w tym, że wcale nie musiał tego robić.

Jest naprawdę miłym człowiekiem, pomyślała, zasy-

263

piając. Ale słowo „miły” nie było dokładnie tym, którego chciała użyć.

Natomiast znalezienie słowa na opisanie następnego dnia nie było niczym trudnym. Na dworze było zimno, w kościele lodowato, lunch zaś stanowił jak zwykle nie-dosmażony rostbef, buraczki i przegotowane ziemniaki. Nawet deser - biszkopt przekładany owocową galaretką, został przed podaniem wyjęty z lodówki.

Teodozja zaproponowała, że zaparzy kawę, ale ciotki nie wyraziły na to ochoty. Całkowicie nieczułe na panujące w salonie zimno, zajęły swoje stałe miejsca i skupiły na słuchaniu radia. Teodozja z trudem doczekała podwieczorku, ale nawet dwie filiżanki herbaty nie były w stanie jej rozgrzać. Z ulgą przyjęła pojawienie się profesora, który po bardzo krótkiej rozmowie z ciotkami zaproponował wyjazd. Tym razem jej nie pocałował, ale, zanim wyszli, obrzucił ją uważnym, troskliwym spojrzeniem. Potem pożegnał się ze zwykłą galanterią i pospiesznie wsadził Teodozję do swojego bentleya.

Nie wiadomo, czy z powodu miłego ciepła panującego w samochodzie, czy z innej przyczyny, po krótkiej chwili Teodozja zaczęła kichać i dostała dreszczy.

- Wyglądasz jak zmokła kura - powiedział profesor niezbyt elegancko, ale szczerze. - Chyba jesteś przeziębiona.

- Myślę, że to całkiem prawdopodobne - odparła, kichając. - Najpierw zmarzłam w kościele, potem-w domu. Ciotki są chyba całkiem odporne na zimno. Ale wszystko będzie dobrze, kiedy wrócę do siebie.

I dodała z niepokojem:

- Bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że pana nie zarażę.

- Nie ma obawy. Uodporniłem się. Myślę, że nie zjemy dzisiaj kolacji w Great Dunmow. Jedziemy prosto do domu.

- Dziękuję.

Oczywiście wiedziała, że szybki powrót do domu był najsensowniejszą rzeczą, jaką można było teraz zrobić, ale jednocześnie poczuła się głęboko rozczarowana. Gorąca zupa, skwierczące na patelni omlety, zapach świeżo parzonej kawy - czyli wszystko, co kojarzyło się jej z Great Dunmow, zostało jej odebrane. Najprawdopodobniej, mimo zapewnień, profesor boi się zarazić katarem. Powstrzymała następne kichnięcia i starała się bezszelestnie wycierać nos.

Kiedy dojechali do przedmieść Londynu, czuła się strasznie. Bolała ją głowa, lało się jej z nosa, na plecach czuła lodowate dreszcze. Przerazała ją perspektywa nakarmienia Gustawa, zimnej łazienki i przygotowania sobie czegoś do jedzenia. Kichnęła potężnie. Profesor podał jej dużą białą chustkę do nosa.

- Dziękuję - wysapała przez nos.

- Już niedaleko - powiedział, a ona westchnęła z ulgą. Jakoś da sobie radę. Ale dlaczego on jedzie w przeciwną stronę?

- To już Embankment - powiedziała. - Pomylił pan drogę...

- Nie. Zabieram cię do siebie. Musisz coś zjeść, wziąć lekarstwa. Potem cię odwiozę.

265

- To za duży kłopot. I jeszcze Gustaw...

- To żaden kłopot, a moja gospodyni na pewno nakarmi Gustawa.

Skręcił w spokojną, elegancką uliczkę z szeregowymi domami z początków dziewiętnastego wieku i podjechał pod ostatni z nich.

Teodozja nie zdążyła jeszcze wymyślić kolejnego przekonującego powodu, dla którego chce być odwieziona do siebie, a raczej do pani Towzer, kiedy znalazła się na chodniku, została wzięta za ramię i doprowadzona do pięknych drzwi wejściowych. Tam profesor oddał ją w ręce małej, przysadzistej „kobiety o siwych włosach i wesołej twarzy, która nie wykazała najmniejszego nawet zdumienia na jej widok. Starsza pani zaprowadziła ją do łazienki na końcu wąskiego holu.

- Co za straszne przeziębienie, panienko - mówiła współczująco do Teodozji. - Ale proszę się nie martwić, profesor zaraz znajdzie na to jakąś radę. Ja tymczasem przygotuję kolację. Zaraz poproszę do stołu.

Teodozja umyła twarz i trochę się odświeżyła. W przeciwieństwie do dusznego samochodu, tu łatwiej jej było oddychać i od razu poczuła się trochę lepiej. Później została zaproszona do jednego z pokoiów na parterze - obszernego, wysokiego salonu z wykuszowymi oknami wychodzącymi na ulicę. Przy kominku, płonącym wesołym ogniem, stały dwa wygodne fotele, a naprzeciw wielka sofa.

Przyćmione światło stojących lamp odbijało się w przeszklonych drzwiczkach dwóch zabytkowych gablot wbudowanych w ścianę po obu stronach kominka i w fornirowanej szafce wielkiego zegara ustawionego

w rogu przy drzwiach. Przytulna atmosfera tego wnętrza zachęcała do odpoczynku.

- Jaki piękny pokój! - wykrzyknęła oczarowana Teodozja.

- Też tak uważam. Wejdź, proszę i usiądź. - Profesor wręczył jej kieliszek sherry. - Po tym poczujesz się swobodniej. Ale żeby poczuć się lepiej, musisz coś zjeść. Przygotowałem też pigułki. Dwie przed snem i dwie rano, codziennie przez tydzień.

Teodozja z wielką przyjemnością sęczyła sherry. Akurat skończyła, kiedy pojawiła się gospodyni profesora, zapraszając ich na kolację.

- A ten przemiły kot siedzi sobie przy piecu i czuje się jak u siebie. Już dostał kolację.

Teodozja podziękowała jej serdecznie.

- To jest Meg, moja gospodyni - profesor przedstawił starszą panią. - Dawno temu była moją nianią.

Meg - to panna Teodozja Chapman, która pracuje w naszym szpitalu.

Meg uśmiechnęła się szeroko i ucisnęła wyciągniętą dłoń Teodozji.

- Zawsze miło poznać kogoś młodego - powiedziała. Teodozja nie mogła wymarzyć sobie lepszej kolacji

- była i gorąca zupa, i delikatny omlet leciutki jak powietrze, kremowe puree z ziemniaków, małe bruschetty, a na deser prawdziwy domowy budyń z żółtek, serwowany w brązowych czarkach z chińskiej porcelany. Zjadła wszystko do ostatniego kęsa. Profesor zauważył z ulgą, że blade policzki Teodozji znowu się zaróżowiły. Namówił ją na drugą filiżankę kawy i wręczył lampkę koniaku.

- Chyba nie będzie mi smakować...

- Całkiem możliwe, ale potraktuj to jako lekarstwo i wypij do dna. Byle nie za szybko.

Zakrztusiła się już po pierwszym łyku. Łzy popłynęły jej z oczu, ale posłusznie opróżniła kieliszek i od razu poczuła ciepło ogarniające całe ciało.

- Teraz mogę już odwieźć cię do domu - powiedział zadowolony profesor. - Weź pastylki i od razu idź do łóżka. Obiecuję, że jutro rano poczujesz się dużo lepiej.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować. Już czuję się lepiej. I ta wspaniała kolacja...

Po pożegnaniu z Meg, Teodozja i Gustaw zostali odwiezieni do domu.

Trudno było o większy kontrast: odrapana, brzydka kamienica pani Towzer na brudnej ulicy i eleganckie otoczenie wytwornego domu profesora. Ale Teodozja nie była dziewczyną, która miałaby pretensje do losu. W końcu ważny jest własny dach nad głową, pomyślała. I znajomość z profesorem, dodała po krótkiej chwili.

Tym razem profesor też wyjął jej klucz z ręki i sam otworzył drzwi wejściowe. Potem zaniósł na górę koszyk z Gustawem, zapalił gaz w kominku, sprawdził, czy Teodozja ma lekarstwa i powiedział:

- Kładź się do łóżka.

Zachowywał się jak wujek albo starszy brat.

Już odchodził, ale przy drzwiach przystanął i wrócił. Milcząc, przyglądał się chwilę Teodozji, która czuła się coraz bardziej nieswojo. Przecież wiedziała, że ma czerwony nos i podpuchnięte oczy. Już chciała coś powiedzieć, kiedy profesor schylił się i pocałował ją. Nie w po-

liczek, ale w usta. Nie pośpiesznie, ale powoli i serdecznie. A potem wyszedł, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi.

- Złapie ode mnie katar - powiedziała Teodozja do Gustawa. - Nie powinien tego robić. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli zachoruje. Powinnam była go powstrzymać.

Tylko że wcale nie chciała go powstrzymać.

Krzątała się po pokoju, dała Gustawowi coś do przegryzienia, rozścieliła kanapę, napełniła termoфор gorącą wodą - absolutnie nieświadoma wykonywanych czynności. Przez głowę przemykały jej setki myśli.

- Chciałabym, żeby pocałował mnie jeszcze raz - monologowała na głos. - Lubię to. I lubię jego. Nie. Nie „lubię”, ale... Chyba się w nim zakochałam. Jestem niemądra. A wszystko dlatego, że nie spotykam się z nikim innym. I tak się zdarzyło, że ostatnio stale wpadaliśmy na siebie. Muszę przestać o nim myśleć. I nie mogę demonstrować, jaka jestem szczęśliwa, gdy go widzę.

I wygłosivszy tę superrozsądną i godną pochwały przemowę, wzięła przepisane lekarstwo i poszła spać. Ale przedtem rozplakała się z żalu. Dlaczego los nie pozwolił jej chodzić tymi samymi ścieżkami co profesor?

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka Teodozja rzeczywiście czuła się lepiej. Była wprawdzie wciąż przeziębiona, ale nie wyglądała już tak żałośnie. Pamiętała o pastylkach, zjadła śniadanie, nakarmiła Gustawa i poszła do pracy. Na powitanie panna Prescott pouczyła ją z kwaśną miną, żeby postarała się jej nie zarazić, i natychmiast wydała jej tyle poleceń, że Teodozja zastanawiała się, czy zdąży wykonać je do końca dnia. Ale to dobrze, że ma dużo pracy. Przynajmniej nie będzie miała czasu na rozmyślania o profesorze. I nakazała sobie surowo, że natychmiast musi przestać o nim myśleć. Co nie przeszkadzało, że przez cały dzień rozglądała się po szpitalu z nadzieją, że gdzieś go zobaczy. Ale nie spotkała go. W czasie przerwy obiadowej stwierdziła, że na parkingu nie ma jego samochodu. Prawdopodobnie wyjechał. Słyszała, że często wyjeżdżał do innych szpitali na konsultacje. Przecież nie miał obowiązku informowania jej o swoich planach.

Następnego dnia podczas zwykłego obchodu wszystkich oddziałów, na których leżeli chorzy z zaleconą dietą, Teodozja usłyszała przypadkiem rozmowę pielęgniarek o jego wyjeździe. Być może wróci pod koniec tygodnia. Chyba był w Austrii.

Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej, Teodozja wypuściła z rąk papiery. Pozbieranie ich i ułożenie w odpowiednim porządku zabrało jej sporo czasu.

- ...do Wiednia - słyszała głos siostry oddziałowej. - I chyba do Rzymu. Miejmy nadzieję, że wróci przed Bożym Narodzeniem.

Teodozja także miała taką nadzieję. Przecież nie można spędzać świąt wśród obcych ludzi, szczególnie jeśli ma się tak elegancki i przytulny dom.

Nadszedł koniec tygodnia. Teodozja nie myślała już tak często o profesorze. Cieszyła się dwoma dniami, które spędzi z dala od panny Prescott. Zakupy zaplanowała na sobotę, żeby całą niedzielę móc spędzić na powietrzu w którymś z parków. Z tego też powodu wybrała się na najwcześniejsze niedzielne nabożeństwo.

Kiedy rano wyszła z domu, na dworze panował jeszcze półmrok. Kałuże były zamarzniete, a dachy pokryte szronem. W kościele pachniało świeżymi chryzantemami, które w wielkich bukietach stały przy ołtarzu. Nabożeństwo nie trwało długo - zimą niewielu wiernych wstawało o tak wczesnej porze. Teodozja wracała do domu, wciągając w płuca chłodne powietrze i myśląc z dużą przyjemnością o śniadaniu. Niestety, zaczynało się chmurzyć, więc przyspieszyła kroku. Na ulicy nie było nikogo, tylko ona i jakaś staruszka, która dreptała powoli z gazetą pod pachą. Samochody przejeżdżały z rzadka, jak to bywa w niedzielny poranek. Nagle zza zakrętu wypadło szare osobowe auto. Kierowca jechał zdecydowanie za szybko. Musiał stracić panowanie nad kierownicą, bo pojazdem zarzuciło. Samochód z im-

petem wjechał na krawężnik i potracił starszą panią. Nie miała najmniejszych szans umknąć mu z drogi. Teodozja nie traciła czasu. Pędem rzuciła się w jej stronę, patrząc z oburzeniem, jak kierowca dodaje gazu i ucieka z miejsca wypadku. Wszystko działo się zbyt daleko, by mogła zauważyć numery rejestracyjne auta.

Na ulicy nadal nie było nikogo. Szczelnie zaciągnięte zasłony w oknach okolicznych domów świadczyły, że ich mieszkańcy jeszcze śpią.

Uklękła obok staruszki, która leżała z głową na chodniku i nogami na jezdni. Była przytomna, ale twarz miała wykrzywioną z bólu, a w-, bladych niebieskich oczach malowało się przerażenie.

Wyglądała jak kukielka, którą ktoś podrzucił i cisnął na ziemię. Jedną nogę miała zgiętą pod dziwnym kątem. Teodozja patrzyła z przerażeniem, jak spódnica starszej pani powoli nasiąka krwią. Natychmiast zdarła z siebie płaszcz, zrolowała go i delikatnie włożyła staruszce pod głowę.

- Bardzo boli? - spytała łagodnie. - Proszę się nie ruszać. Zaraz sprowadzę pomoc.

- Nic nie czuję - usłyszała. - Tylko kręci mi się w głowie.

Kałūza krwi była coraz większa. Teodozja lekko uniosła spódnicę staruszki i zmartwiała. Nie było na co czekać. Zaczepnęła powietrza, żeby głośniejsze krzyknąć, i biegiem rzuciła się w stronę najbliższych drzwi.

Profesor siedział za kierownicą bentleya. Przed chwilą przyleciał z Rzymu, a teraz wracał z lotniska. Postanowił najpierw pojechać do szpitala i zajrzeć do swoich

pacjentów. Nie spieszyło mu się. Podróż była krótka i przyjemna, cieszył się z powrotu do domu, a w mroźny poranek nawet najbrzydsze uliczki Londynu miały swój urok. Wydawało się, że wszędzie panuje cisza i spokój.

Nagle drgnął, a jego przyjemne myśli zostały gwałtownie przerwane. Nie do wiary! Ulicą biegła Teodozja - nikt inny nie miał przecież takich włosów! - i histerycznie machała rękami. Zahamował gwałtownie i zaklął pod nosem, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Teraz jednak był wstrząśnięty... - Szybko, szybko! - wydyszała. - Ona strasznie krwawi. Miałam zamiar wołać o pomoc... Jak to dobrze, że to ty...

Nie tracił czasu. Porozmawiać mogą później. Wyskoczył z samochodu i podbiegł do leżącej staruszki. Bez słowa uniósł spódnicę, żeby sprawdzić stan uszkodzonej nogi. ,

- Przynies torbę z samochodu - rzucił polecenie Teodozji. - Z tylnego siedzenia.

Zrobiła to najszybciej, jak się dało.

- W samochodzie jest telefon - krzyknął, odbierając torbę. - Dzwon po karetkę! Powiedz, że to pilne. Wypadek.

Kiedy wróciła, profesor kucnął przy rannej. Jedną ręką szukał czegoś w torbie, drugą naciskał uszkodzoną tętnicę.

- Znajdź szczypce! Takie z zębami.

Teodozja podała mu je bez zwłoki i czekała z parą następnych, odwracając głowę, żeby nie patrzeć na krwawą miazgę, w której dłubał profesor.

- Postaw teraz torbę z zasięgu mojej ręki - usłyszała

- i rozmawiaj z nią. Mów cokolwiek. Wezwałaś pogotowie?
- Tak. Wy tłumaczyłam, jak tu dojechać. Klęknęła przy głowie starszej pani, która była przytomna, ale dużo bledsza niż przed chwilą.
- Ale pech! - wyszeptała staruszka. - Miałam wyjechać do córki na święta.
- Do Bożego Narodzenia zdąży pani wyzdrowieć. Jest tu lekarz. Zaraz przyjedzie pogotowie i zabierze panią do szpitala.
- Ma być prawdziwy świąteczny obiad. Indyk... I wszystkie dodatki. Tak jak się należy w święta. Nie ma to jak dobrze upieczony indyk.
- Tak, też lubię indyka - Teodozja wysilała słuch, sprawdzając, czy nie nadjeżdża karetka. - Z żurawinami.
- Dobrze nadzienie też nie jest złe. - Głos kobiety był coraz słabszy. - I sos. Musi być dobry chlebowy sos i cebulki.
- Czy pani córka umie robić pudding? - Teodozja uznała, że ta rozmowa robi się coraz bardziej surrealistyczna. Takie rzeczy przydarzają się człowiekowi we śnie, ale to nie był sen.
- Czy z moją nogą jest niedobrze? - W niebieskich oczach kobiety pojawił się strach.
- Jest skaleczona, ale doktor już się nią zajął. Co za szczęście, że akurat wtedy przejeżdżał.
- Chyba jest jednym z tych, którzy nie lubią strzepić języka, co?
- Jest zajęty. Teraz zakłada bandaż. Czy pani mieszka w pobliżu?

- A, tak. Za rogiem, na Holne Road, pod szóstką. Wysłałam tylko po gazetę. - Twarz staruszki skurczyła się z bólu. - Nie czuję się dobrze.

- Nawet się pani nie spostrzeże, kiedy będzie zdrowa jak ryba - Teodozja westchnęła z ulgą, bo w oddali usłyszała sygnał karetki.

Od tej chwili wszystko działało się jak na przyspieszonym filmie. Sanitariusze działali szybko. Zastrzyk z morfiny, aparat tlenowy, plazma. Kiedy profesor podwiązał przeciętą tętnicę i sprawdził puls, przenieśli ranną na noszach do karetki i odjechali na sygnale.

Teodozja podniosła się. Kolana jej drżały i musiała się oprzeć o czyjąś furtkę. Widziała mnóstwo twarzy przyklejonych do okien i zastanawiała się, czy da radę dojść do domu.

- Wsiadaj. Podrzucę cię do domu. Jadę do szpitala. Profesor spojrzał z góry na jej zasmuconą buzię.

- Dzień dobry - powiedział i uśmiechnął się. Ruszyli. Teodozja nie mówiła, że czuje się niedobrze.

Profesor też milczał. Bardzo się spieszył. Przed domem pani Towzer zatrzymał się, żeby wysiadła, i natychmiast odjechał.

Teodozja wdrapała się na swoje poddasze. W pokoju zrzuciła zakrwawione ubrania, przebrała się i dla uspokojenia opowiedziała Gustawowi, co się stało. Powinna zjeść śniadanie. Przecież była bardzo głodna. Ale odechciało się jej jeść. Nakarmiła tylko kota, a potem nastawiła wodę na herbatę. Czuła, że filiżanka gorącej herbaty dobrze jej zrobi.

Właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

275

- Proszę - powiedziała odruchowo, zbyt późno zdając sobie sprawę, że być może wpuszcza do domu kogoś obcego.
- Nie powinnaś nigdy otwierać drzwi, zanim sprawdzisz, kto puka - powiedział profesor, wchodząc do pokoju. - To niebezpieczne.
- Podszedł do kuchenki i bez słowa wyłączył gaz. Potem wziął na ręce Gustawa i włożył go do koszyka.
- Co robisz? - wyjąkała Teodozja.
- Zabieram was do siebie na śniadanie. Włóż płaszcz.
- Mój płaszcz się nie nadaje do noszenia. To znaczy, muszę go oddać do pralni. Wezmę prochowiec. Powinna się rozzłościć, bo profesor znowu decydował za nią, nie pytając o zgodę, ale była na to zbyt zmęczona. Zresztą, nie warto się czepiać, bo on także wyglądał na osobę, która musi oddać rzeczy do pralni chemicznej.
- Jak się czuje nasza staruszka?
- Jest już na sali operacyjnej. Myślę, że wszystko będzie dobrze. Pospiesz się, malutka.
- Mogłaby zaprotestować. Nie zgodzić się. Ale Gustaw już był w koszyku gotowy do drogi, a ona poczuła głód. Włożyła więc prochowiec, na głowę wcisnęła czapkę i zeszła po schodach za profesorem. Na ulicy, pustej i spokojnej jak przed godziną, znowu zaczęła rozmyślać nad tym, co mogłaby powiedzieć, gdyby tylko w porę wysiliła umysł. W samochodzie, do którego wsiadła bezwiednie, bo drzwiczki były otwarte, postanowiła, że zaraz po śniadaniu powie profesorowi, że umówiła się na lunch z przyjaciółmi... Szybko porzuciła ten pomysł. Kłam-

stwo, nawet drobne i całkowicie niewinne, nie wchodziło w grę. Po prostu dlatego, że kochała profesora. A ludzie, którzy się kochają, nie powinni mieć przed sobą sekretów.. Tylko że on jej nie kochał.

Westchnęła i spojrzała na niego.

- Twój garnitur jest całkiem zniszczony. - Dopiero teraz zauważyła, że od dzisiaj, od wspólnej akcji ratunkowej, zaczęła mówić do niego na ty.

- Twój płaszcz również. Co za szczęście, że tam byłaś. Muszę przyznać, że w tej rudej głowie masz całkiem sporo zdrowego rozsądku. Nawet nie wiesz, ilu ludzi wpada w panikę w obliczu zwykłego wypadku. Bardzo wcześnie dzisiaj wstałaś.

- Poszłam wcześniej do kościoła, żeby mieć czas na długi spacer. Często tak robię w niedziele.

- Bardzo mądrze. Po całym tygodniu zamknięcia w szpitalu należy ci się trochę świeżego powietrza. Meg przywitała ich w drzwiach, a zatem musiała wypatrywać profesora przez okno. Odbierając od Teodozji płaszcz i czapkę, zapowiedziała stanowczo:

- Proszę się przebrać, panie profesorze. Podam śniadanie, kiedy tylko będzie pan gotowy. Panna Chapman poczeka na pana przy kominku.

Z zaaferowaną miną zaprowadziła Teodozję do małego pokoju z kominkiem i oknami wychodzącymi na wąski ogród na tyłach domu. Okrągły stół był nakryty do śniadania.

- Proszę tu chwilę posiedzieć - powiedziała - a ja przyniosę Gustawa.

Wypuszczony z koszyka, Gustaw przeciągnął się i na-

tychmiast zajął miejsce przed kominkiem. Zachowywał się tak, jakby mieszkał tu przez całe życie. Profesor pojawił się po chwili. Miał na sobie sztruksowe spodnie i jasny golf. Kaszmirowy, stwierdziła Teodozja. Od dawna miała ochotę na kaszmirowy sweter. Gdyby tak darowała sobie tydzień wakacji na farmie, chyba wystarczyłoby jej na kupienie takiego swetra. Musi to rozważyć, bo chyba niezbyt lubi wakacje na farmie...

Tuż za profesorem weszła Meg, niosąc zastawioną tacę. Wizja zwykłego śniadania Teodozji złożonego z płatków kukurydzianych i tostów i tylko czasem urozmaiconego jajkiem na miękko, rozplynęła się jak sen na widok tego, co proponowała Meg, która najwyraźniej nie uznawała nowomodnych lekkich śniadań. Na tacy pysznił się smażony kruchy bekon bez cienia tłuszczu, jajka pod różnymi postaciami, duszone pieczarki, pomidory i oczywiście tradycyjny angielski gulasz z nerek.

Profesor podał Teodozji talerz pełen różności.

- Musimy zjeść porządne śniadanie, jeśli mamy iść na długi spacer - zauważył od niechcienia.

Teodozja zrobiła wielkie oczy.

- Ale to ja miałam iść na spacer.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym wybrał się z tobą? Zresztą, potrzebuję twojej pomocy.

Wybieram się dzisiaj do Worthing po psa. Trzeba będzie wziąć go na długi spacer przed podróżą do Londynu.

- Pies? - zapytała zdumiona Teodozja. - Dlaczego jest aż w Worthing? Przecież tak naprawdę wcale nie jestem ci potrzebna, żeby go tutaj przywieźć.

Nie odpowiedział od razu.

- To złoty labrador, trzyletni - wyjaśnił po chwili. - Należał do mojego przyjaciela, który przeprowadził się do Australii. Ponieważ ostatnio często wyjeżdżałem, czekał na mnie w psim hotelu. Dopiero teraz mam czas, żeby go odebrać.

- Musi być tam bardzo nieszczęśliwy - zawołała Teodozja. - Jak to dobrze, że będzie mieszkał tutaj. Jeśli uważasz, że łatwiej przyzwyczai się do nowego domu, kiedy ja tu jestem, z największą chęcią pojedę z tobą do Worthing.

Nagle przypomniała sobie o kocie.

- Nie mogę - ściągnęła brwi. - Przecież Gustaw...

- Gustaw jest tu całkiem szczęśliwy. A Meg zwariowała na jego punkcie.

Podał Teodozji grzanekę.

- A więc wszystko ustalone. Czekaj nas wspaniały dzień - powiedział i uśmiechnął się do niej.

Kiedy, godzinę później, dojeżdżali do Dorking, profesor spojrzął na Teodozję znad kierownicy.

- Czy znasz te okolice? - zapytał. - Warto je zwiedzić. Teraz zjadę z głównej szosy w stronę Billingshurst. Pojedziemy na północ wiejskimi drogami i wrócimy na autostradę tuż przed Worthing. Miał rację. Nawet w środku zimy było tu pięknie. Po mroźnej nocy pokryte szronem łąki i drzewa błyszcząły w słońcu. Teodozja czuła się jak w siódmym niebie. Nie spodziewała się, że następny cudowny dzień dany jej będzie tak szybko i tak niespodziewanie. Dziwny kaprys losu znowu zetknął ich ze sobą.

Przypomniała sobie o porannym wypadku.

- To niesprawiedliwe — powiedziała - że ta biedna staruszka teraz leży w szpitalu, a ja podziwiam West Sussex. - Zająknęła się i dodała niezręcznie: - To znaczy, chciałam powiedzieć, że bardzo się cieszę z tej podróży.

Profesorowi przyszło do głowy co najmniej kilka odpowiedzi. Nie odważył się jednak na żadną. Zamiast tego rzucił od niechcienia:

- Idealny dzień na wyjazd za miasto, prawda? Ja też się cieszę. Co byś powiedziała na kawę w Billingshurst?

Do Worthing dojechali w południe. Zjedli lunch w jednym z hoteli stojących przy promenadzie nad samym brzegiem morza. Teodozja z ulgą pozbyła się znoszonego prochowca, zostawiając go w szatni, i rozkoszowała się jedzeniem w miłym jej sercu towarzystwie, zupełnie nieświadoma spojrzeń innych gości, wyraźnie zaintrygowanych burzą rudych włosów i radością emanującą z jej twarzy.

Wczesnym popołudniem dotarli do psiego hotelu. Labrador George od razu rozpoznał w profesorze przyjaciela swojego pana. Przywitał go pełnym godności szczeknięciem i szaleńczym machaniem ogonem. W boksie miał współlokatora - małego, śmiesznego kundla, mieszańca tyłu ras, że trudno byłoby stwierdzić, która przeważała. Pies miał sympatyczny lisi pyszczek, nastroszone brwi i szorstką sierść. Chodził dziarsko na krótkich i trochę krzywych łapach i machał cienkim, nieproporcjonalnie długim ogonem. Teraz siedział bez ruchu i patrzył, jak profesor odbiera George'a.

- Spójrz na tego małego - chrząknęła przejęta Teodozja. - Ma taką smutną minę...

Opiekun psów roześmiał się.

- Od kiedy do nas trafił, zachowuje się jak cień Geor-ge'a. Nie można ich rozłączyć. Nawet śpią razem. Miejmy nadzieję, że ktoś go zechce. Znaleźliśmy go w śmietniku.

Profesor obserwował Teodozję z pełnym rezygnacji rozbawieniem. Wiedział już, że zostanie właścicielem także tego małego kundla. Wprawdzie Teodozja o nic go nie prosiła, ale wystarczył jeden rzut oka na wyraz jej twarzy.

- Może wzięlibyśmy też i jego? Skoro tak się zaprzyjaźnili... - zaproponował. - Czy on ma jakieś imię? Uszczęśliwiona mina Teodozji wynagrodziła mu wszystko.

- Naprawdę? Zrobisz to? - zawołała, kucając przy małym piesku, który zrozumiał, że dzieje się coś ważnego i aż trząśł się cały z podniecenia.

Wzięła go na ręce i tak czekali, aż profesor wybierze dla niego smycz i obrozę oraz zapłaci za pobyt George'a w hotelu.

- Wszystkim nam należy się szybki spacer po plaży - zaśmiał się profesor.

Oba psy wskoczyły do samochodu bez długiego namawiania. Najwyraźniej uznały, że ta jazda nie zagraża ich długo oczekiwanej wolności.

- Musimy wymyślić mu imię - powiedział później, patrząc na szalejące na plaży zwierzęta.

- Max - odparła Teodozja bez cienia wahania. - Jest mały i nie wygląda na to, żeby miał jeszcze urosnąć. Dlatego potrzebuje poważnego imienia. Maksymilian doda mu powagi. Ale czy mógłbyś na co dzień wołać na niego Max?

- Dlaczego nie? - zgodził się chętnie.

Powoli zaczęli wracać w stronę samochodu. Otwierając drzwiczki, profesor gwizdnął na psy.

- George, Max!

Psy przybiegły zziębnięte i wskoczyły do środka z niepewnymi minami.

- Wszystko w porządku. Nie bójcie się - uspokajała je Teodozja. - Jedziecie do domu. Wszyscy będą was tam kochać.

Nagle przypomniała sobie o kocie.

- A co będzie z Gustawem? - zaniepokoiła się. - Nigdy nie przebywał w towarzystwie psów.

- Trafia mu się świetna okazja. Pozna dwa psy za jednym zamachem. Wypuścimy całą trójkę do ogrodu.

- Naprawdę? - ucieszyła się, ale zaraz spoważniała. - Nie, chyba lepiej nie. Wejdę na chwilę, żeby wsadzić Gustawa do koszyka, i zaraz wezmę go do domu.

Profesor nie odpowiedział. Sądziła, że przystał na jej plan. Wszystko będzie dobrze. Wróci do domu autobusem. A raczej dwoma, bo czeka ją przesiadka. Na szczęście w niedzielę wieczorem autobusy są raczej puste.

Wracali główną drogą przez Horsham i Dorking. Jeszcze nie było późno, ale powoli zaczynało się ściemniać. Kiedy człowiek jest szczęśliwy, nie zauważa, jak szybko płynie czas, pomyślała Teodozja. Rozmawiali mało. Od czasu do czasu któreś z nich wygłosiło jakąś uwagę. Teodozja co jakiś czas odwracała głowę, żeby sprawdzić, jak się czują psy. Siedziały z niepewnymi minami, sztywno wyprostowane i przytulone do siebie.

- Czy w dzieciństwie miałaś psa? - zapytał profesor.

- Tak, oczywiście. Psa i kota. I kucyka - rozpromieniła się.

- To znaczy, że mieszkałaś poza miastem...

Był bardzo ciekawy opowieści o jej rodzinnym domu. Nie okazywał tego, żeby jej nie spłoszyć, ale Teodozja z wyraźną przyjemnością zaczęła opowiadać o pięknym starym domu w Wiltshire, o szkole i o tym, jak była wówczas szczęśliwa.

- Przepraszam. Rozgadałam się - powiedziała nagle. - Zachowuję się jak stara nudziara, a wszystko dlatego, że rzadko mam okazję o tym mówić. Oczywiście często wspominam tamte czasy.

Zerknęła przez okno. Było już całkiem ciemno.

- Czy już niedaleko? - zapytała.

- Owszem. Ale nie masz za co przepraszać. Wcale mnie nie znudziłaś. Byłem ciekaw, gdzie mieszkałaś, zanim trafiłaś do Londynu, bo na pierwszy rzut oka widać, że nie czujesz się tu dobrze.

- Och! Naprawdę? Chyba masz rację, ale z drugiej strony pocieszam się, że nie jest całkiem źle.

Przecież mam ciotki. Pracę. W szpitalu poznałam wielu miłych ludzi.

- Czy nigdy nie myślałaś, żeby robić coś innego?

- Jak by to powiedzieć... Nie wydaje mi się, żebym była kobietą, która marzy o karierze. Znasz takie panie, prawda? Elegancki kostium, aktówka w ręku...

Zaśmiała się głośno, ale nie skomentował jej słów.

- Jesteśmy, w domu - powiedział tylko.

Gdyby to mógł być i mój dom! pomyślała Teodozja

z nagłym żalem, ale zaraz wzięła się w garść. Nie bądź głupia! ofuknęła się w myślach. Czekala na chodniku, aż profesor weźmie psy na smycz. Nie ruszyła się, kiedy wprowadzał je po schodach.

- Chodź, Teodozjo - odwrócił się, widząc jej wahanie. - Meg na pewno przygotowała dla nas herbatę. Później, kiedy leżała w łóżku z Gustawem skulonym u jej boku, przypominała sobie ten dzień minuta po minucie. Był jak wspaniały sen, tylko że sny się zapominają, a ona nie zapomni ani jednej minuty spędzonej z profesorem.

Dzień skończył się dokładnie tak, jak wcześniej zaplanował: pili herbatę przy kominku, a psy siedziały między nimi w pozie stałych mieszkańców domu. Kiedy profesor wniósł do salonu Gustawa, Teodozja skuliła się ze strachu, ale nic nie powiedziała. Prychanie i powarkiwanie trwało długą chwilę, ale w końcu zwierzęta doszły do porozumienia.

Mimo że miała zamiar wrócić do domu zaraz po podwieczorku, profesorowi nie bez trudu udało się ją przekonać, żeby została na kolację.

- Przecież musimy dać Gustawowi czas, żeby przyzwyczał się do George'a i Maksa - powiedział w końcu, zadowolony z pretekstu, który przyszedł mu do głowy w odpowiednim momencie.

Kiedy wychodziła z domu profesora, z niechęcią myślała o ciemnym domu i zimnym pokoju. Jak zwykle odwiózł ją i odprowadził na górę. Potem zapalił gaz w kominku, zaciągnął zasłony i zapalił lampę. Z uśmiechem

wysłuchał jej niezręcznych podziękowań i szybko się pożegnał, życząc jej dobrej nocy. Dlaczego więc czuła się rozczarowana? Przecież nie było powodu, żeby zwlekał z wyjściem, mówiła sobie, zasypiając. Być może spotka go jutro w szpitalu. Nie muszą rozmawiać. Wystarczy, żeby mignął gdzieś na korytarzu. Dobrze wiedzieć, że jest w pobliżu.

Następnego dnia rano Teodozja obudziła się z solennym postanowieniem, że zwalczy w sobie wszelkie głupie myśli o profesorze. Tylko jak to zrobić? Nie może udawać przed sobą, że nie jest w nim zakochana, skoro jest! Dobrze, że zachowała jeszcze resztki zdrowego rozsądku i wie, że nic z tego nie będzie.

Łatwo dotrzymała danego sobie słowa, ponieważ od rana panna Prescott była w bardzo złym humorze. Teodozja nie miała ani chwili na myślenie o niebieskich migdałach, bo szefowa zlecała jej jedną pracę po drugiej. Podczas przerwy na lunch udało się jej wykroić tylko chwilę. Zeszła na chirurgię, żeby zapytać, czy może odwiedzić ofiarę wczorajszego wypadku.

Staruszka siedziała na łóżku, oparta o poduszki. Była blada, ale miała dobry humor mimo kilkunastu rurek, którymi ją opleciono. Od razu rozpoznała Teodozję.

- Nie byłoby mnie już na tym świecie, gdybyś nie przechodziła tamtędy, kochaneczko. Ty i ten miły doktor. Zajęliście się mną, że hej. Powiedziałam to córce. Niech wie. Była tu u mnie. Obie jesteście wam wdzięczne. Obie!

- Ja też się cieszę, że tam byłam. Miałyśmy prawdziwe szczęście, że profesor Bendinck akurat tamtędy przejeżdżał...

285

- Profesor, mówisz? No, no! Prawdziwy dżentelmen, który troszczy się o ubogiego człowieka. Już tu u mnie był dzisiaj rano.

Teodozji zrobiło się ciepło na sercu. Może i ona go zobaczy?

Ale przez resztę dnia go nie widziała. Nie zobaczyła go ani razu do końca tygodnia. Dni wlokły się niemrawo, aż w końcu nadszedł piątek. Teodozja jak zwykle przyjaźnie pożegnała się z panną Prescott i życzyła jej miłego weekendu. Sama nie miała nadziei na nic ekscytującego: na dworze padało, było zimno i nic nie wskazywało, że pogoda zmieni się w sobotę albo niedzielę. Przez całe dwa dni będąc siedziała w domu, postanowiła, zbliżając się do wyjścia. Zauważyła profesora dosłownie w ostatniej chwili i nie miała czasu wycofać się do bocznego wyjścia. Przeszła obok niego obojętnie i chłodno skinęła mu głową.

- Jesteś nareszcie! - Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać. - Bałem się, że nie zauważyłem, kiedy wyszłaś.

- Byłam tu przez cały tydzień - odpowiedziała trochę urażonym tonem.

Ale nie mogła udawać, że się nie cieszy, kiedy poczuła jego rękę na swoim ramieniu.

- Ja też - oznajmił. - Mam do ciebie pytanie. Czy będziesz wolna w niedzielę, żeby pójść z psami na spacer? George jest bardzo posłuszny, ale Max nic jeszcze nie umie i potrzebuje specjalnego opiekuna. Pomyślałem sobie, że skoro ci na nim szczególnie zależy... - dodał niezbyt fortunnie. Teodozja natychmiast poczuła się winna.

- O, Boże! Powinnam była o tym pomyśleć. To moja wina... Gdybym wtedy nic nie powiedziała... A może trzeba zawieźć go z powrotem do Worthing i znaleźć mu inny dom?

- Oczywiście, że nie. Musi się przyzwycząić i tyle. Na razie energia go rozpiera. Ale nie wolno rozdzielić go z George'em.

Przepuścił ją przodem.

- Odwiozę cię do domu.

- Nie trzeba.

Co było raczej głupią odpowiedzią, zważywszy że lał deszcz i było całkiem ciemno. Pozwoliła zatem wsadzić się do samochodu i zawieźć pod dom pani Towzer.

- Bądź gotowa w niedzielę o dziesiątej - zawołał profesor i odjechał, nie czekając na odpowiedź.

- Ma mnie za nic! Naprawdę! - mruzczała do siebie zirytowana, idąc po schodach. Ale w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda. Po prostu profesor organizował wszystko tak, żeby nie mogła odrzucić jego propozycji.

W niedzielę wstała wcześniej, żeby zająć się Gustawem. Zrobiła mu pyszne śniadanie. Sama też zjadła coś przy okazji. Wytłumaczyła Gustawowi, dlaczego zostawia go samego.

- Ale przygotuję ci coś specjalnego na kolację - obiecała.

Nagle zmarszczyła brwi. Nie miała pojęcia, jak długo jej nie będzie. On naprawdę ma ją za nic, bo nawet nie raczył powiedzieć, dokąd jada ani na jak długo. Następnym razem musi zawczasu przygotować sobie dobrą wymówkę...

Właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Zerknęła na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Profesor przywitał się z nią.

- Jeśli chcesz, możemy wziąć Gustawa - zaproponował. - Będzie mu przyjemniej z nami w samochodzie niż samemu w domu.

- To prawda. Nie wiem tylko, co na to psy. Ani jak daleko jedziemy.

- Niedaleko - powiedział, wkładając kota do koszyka. - Świeże powietrze dobrze mu zrobi.

O dziwo, pani Towzer nie było na stanowisku, jednak drzwi do jej mieszkania były lekko uchylone.

- Wrócimy wieczorem, proszę pani - zawołał profesor prosto w stronę szpary w drzwiach, w których mignęła jej twarz.

- Właściwie to ona nawet nie jest wścibska - powiedziała Teodozja w samochodzie. - Po prostu lubi wiedzieć, co się dzieje.

Psy przybiegły, żeby się z nią przywitać. Obecność Gustawa zupełnie im nie przeszkadzała. Teodozja była szczęśliwa. Był zimny, ale słoneczny zimowy poranek, a ona siedziała wygodnie, w ciepłym samochodzie, obok mężczyzny, którego kochała. Czego więcej można chcieć? Może inna dziewczyna uznałaby, że chce czegoś więcej, ale Teodozja umiała cieszyć się tym, co ma.

- Dokąd jedziemy? - zapytała. - Przecież to droga do Finchingfield.

- Nie bój się! Nie jedziemy do twoich ciotek - roześmiał się. - Mam mały domek w okolicach Saffron Walden. Pomyślałem, że zatrzymamy się tam, pójdziemy na

spacer, a po powrocie urządzimy sobie domowy piknik. Meg przygotowała nam cały kosz jedzenia. Jechali powoli bocznymi drogami, rozglądając się i podziwiając widoki. W Bishop's Stortford skręcili na mało uczęszczaną drogę, która doprowadziła ich do niewielkiej wioski. Wąską uliczką, przy której stały małe domki obrośnięte zielenią, dotarli do centralnego placzyku ze skwerem i kilkoma większymi domami, nad którymi górował kościół z szarego kamienia. Profesor wjechał w jeden z zaułków i stanął przed posesją obrośniętą gęstym żywopłotem. Kiedy otworzył bramę, oczom Teodozji ukazał się wielki ogród otoczony wysokim ceglany murem, tak starym, że przybrał wypłowiałą, różową barwę. Brukowany podjazd przecinał frontowy ogród i kończył się przed domem - starym, parterowym budynkiem z tej samej wyblakłej cegły, z gankiem i dachem krytym grubą strzechą z trzciny, łukowato wznoszącą się nad oknami. Szybki tych okien były ujęte w ołowiane ramki. Z tyłu domu znajdował się drugi ogród, do którego wchodziło się przez niską drewnianą furtkę w murze. Teodozja oniemiała z zachwytu. Dopiero kiedy profesor wypuścił psy, przypomniała sobie o Gustawie. Wyjęła koszyk z samochodu.

- Zaniosę go od razu do ogrodu na tyłach domu - zaproponował profesor. - Będzie tam bezpieczny. Jeśli mu się znudzi, wejdzie do domu kuchennymi drzwiami.

Otworzył drewnianą furtkę i gestem zaprosił Teodozję do ogrodu.

Miał rację - ani psy, ani kot nie mogłyby sforsować wysokiego muru, który z trzech stron zamykał obniżający

się łagodnie teren. Wewnątrz znajdował się staroświecki ogród warzywny, a za nim niewielki sad z krzewami owocowymi i kilkoma jabłoniąmi. Pomiedzy grządkami biegły wąskie ścieżki wysypane tłuczoną cegłą. I chociaż była zima, Teodozja w wyobraźni widziała warzywa rosnące w tu równych rzędkach i rumiane jabłka zwieszające się z gałęzi.

- Piękny ogród. Doskonały nawet zimą - wykrzyknęła zachwycona.

Profesor otworzył pokrywę koszyka i Gustaw, strzygąc uszami, wystawił głowę, żeby się rozejrzeć.

- Nie jest przyzwyczajony, do otwartej przestrzeni - powiedziała Teodozja. - Odkąd jest u mnie, wychodzi tylko na dach pod oknem. Kiedyś mieszkał na ulicy, ale to nie znaczy, że wtedy był szczęśliwy, prawda?

Kucnęła i podrapała go za uchem.

- Myślę, że możemy go tu zostawić. Psy go nie skrzywdzą, a my zostawimy mu otwarte drzwi do kuchni.

Weszli do niewielkiej, ale przytulnej kuchni o blado-żółtych ścianach. Podłoga pokryta była kamiennymi płytkami, staroświecki kredens z odkrytymi półkami zajmował całą ścianę, w jednym rogu stał piec, a w drugim prawdziwy kamienny zlew. Pośrodku ustawiono ciężki drewniany stół z czterema równie masywnymi krzesłami.

Teodozja obracała się powoli, żeby niczego nie przeoczyć. Podobało się jej to, co widziała.

Wymarzone miejsce na poranną kawę zimowym rankiem lub podwieczorek jedzony latem przy drzwiach otwartych na ogród tonący w zieleni. Na pewno pani domu znalazłaby tu wszystko, o czym zamarzy...

- Tędy. - Profesor otworzył drzwi do niedużego holu. Stamtąd weszli do bawialni, która zajmowała cały bok

domu. Małe okienko wychodziło na frontowy ogród, a przez duże weneckie okno widać było pola znajdujące się za murem warzywnika. W pokoju stały bujane fotele, tu i tam rozstawiono małe stoliki, na których można było postawić filiżankę. Na podłodze leżały lekko spłowiałe tureckie dywany, a ich kolory i wzory powtarzały się na zasłonach. Obok kominka znajdowała się wnęka z miękkimi ławami. Teodozja chciała jeszcze obejrzeć ryciny na ścianach, ale nie zdążyła, bo profesor przeszedł przez hol i otworzył następne drzwi.

- To jest jadalnia.

Ujrzała okrągły dębowy stół, proste krzesła i długi bufet. Prostota i elegancja, stwierdziła.

Na parterze znajdował się jeszcze gabinet profesora, a w nim biurko i półki z książkami. Wąskie schody prowadziły na poddasze. Tam były sypialnie - jedna duża i dwie małe, oraz łazienka. Domek był stary, ale urządzone go komfortowo, nie ucząc się z kosztami. Stosy starannie ułożonych ręczników i pościeli wzbudziły w Teodozji podziw.

- Możesz przyjąć tu nawet królową - uśmiechnęła się.

- Albo żonę...

Dość brutalnie ściągnął ją z obłoków na ziemię.

- Czyżbyś miał zamiar się ożenić?

- Tak, oczywiście.

Teodozja przełknęła ślinę, żeby zdusić ból, który nagle poczuła w sercu. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że nieszczęście może być tak bardzo bolesne.

- Czy ona widziała już ten dom? Myślę, że musiał ją zachwycić...

- Tak, widziała. Wydaje mi się, że bardzo jej odpowiada.

Teodozja wiedziała, że nie może przerwać tej rozmowy, bo inaczej się rozpłacze.

- Ale przecież nie będziecie tu mieszkać. Masz dom w Londynie.

- Możemy tu przyjeżdżać, kiedy tylko będziemy mieli ochotę. To przecież nie jest bardzo daleko.

- A kto zajmuje się ogrodem? Jest bardzo zadbany.

- Lubię zajmować się roślinami, ale w okolicy jest wspaniały stary ogrodnik, który przychodzi co jakiś czas. No i pani Trump, która jest kimś w rodzaju dochodzącej gospodyni.

- Aha, teraz rozumiem. - Teodozja jak automat pokiwała głową. — Czy możemy już zejść na dół? Muszę zajrzeć do Gustawa.

Kot siedział w swoim koszyku i z lekką pogardą obserwował psy szalejące po ogrodzie.

- Wygląda, jakby mieszkał tu całe życie. - Teodozja schyliła się, żeby go pogłaskać. Potem podniosła wzrok na profesora. - To właśnie taki dom, prawda? Dom, w którym wszyscy czują się szczęśliwi.

- Chyba masz rację: I mam nadzieję, że zawsze tak będzie. Poczekaj chwilę. Przyniosę jedzenie.

Meg przygotowała im zupę w termosie, małe chrupiące bułeczki z szynką i kremowym serem, miniaturowe kiełbaski, a na deser słodkie rogaliki i kawę. Nie zapomniała o winie ani o jedzeniu dla zwierząt.

Teodozja jadła jak łakome dziecko. Wszystko po to, żeby nie myśleć o bólu. Postanowiła być opanowana i chłodna. Pilnowała się, żeby rozmawiać wyłącznie na neutralne tematy - o pogodzie, Bożym Narodzeniu, prezentach. Opowiadała dowcipne historyjki o pracy w szpitalu. Gorączkowo przeskakiwała z tematu na temat, a on nie próbował tego zmienić. Z lekkim rozbawieniem śledził jej wysiłki i zastanawiał się, czy to właściwy moment, żeby powiedzieć jej, że ją kocha. Uznał, że moment nie jest właściwy. Teodozja go lubi, ale on wolałby, żeby poczuła do niego coś więcej. Jeszcze trochę poczeka.

Poza tym Teodozja jest młoda. Może jeszcze spotkać kogoś w swoim wieku,.. Wprawdzie on nie czuł się staro, ale ona musiała uważać go za mężczyznę co najmniej w kwiecie wieku. Niestety!

Po lunchu obeszli ogród. Psy biegały wokół nich, Gustaw w ramionach Teodozji ignorował je całkowicie. Gdy zaczęło się ściemniać, zamknęli mały domek, zapędzili zwierzaki do samochodu i ruszyli w drogę powrotną.

Byli już na przedmieściach Londynu, kiedy ciszę panującą w samochodzie zakłócił brzęczyk telefonu komórkowego. Profesor słuchał długo, ale sam miał do powiedzenia niewiele:

- Zobaczymy się za pół godziny - usłyszała Teodozja. Potem odwrócił się do niej. - Muszę jechać do szpitala. Wysadzę cię przed domem. Szkoda. Miałem nadzieję, że zostaniesz na kolację.
- Dziękuję, ale i tak musiałabym odmówić - odpowiedziała dzielnie. - Mam jeszcze sporo do zrobienia: pranie, prasowanie i takie tam. Jutro poniedziałek. - i po

293

chwili przerwy dodała: - Ale dziękuję za zaproszenie. I za miły dzień. Spędziłam cudowne chwile. Co nie do końca było prawdą. Od kiedy profesor powiedział, że ma zamiar się ożenić, wszystko się zmieniło. Ale on nie musiał tego wiedzieć.

- Nie wysiadaj, proszę - poprosiła pod domem, ale on i tak wysiadł i zaniósł do holu koszyk z Gustawem. Kiwnął jej ręką na pożegnanie i szybko odjechał.

- I od dzisiaj już zawsze tak będzie - mruknęła do siebie Teodozja, wchodząc do zimnego pokoju. - Nie zaprosi mnie więcej. A jeśli zaprosi, nigdzie z nim nie pojedę. Musi zrozumieć, że nie mamyze sobą nic wspólnego. Przypadkowe spotkania, i tyle. Musimy to zakończyć.

Westchnęła i przygotowywała sobie kolację - fasolkę po bretońsku z puszki i grzanek, nakarmiła Gustawa, a potem, już w łóżku, rozplakała się gorzko. Płakała i płakała, aż w końcu zasnęła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tydzień zaczął się fatalnie. Teodozja zasnęła, Gustaw, zwykle tak posłuszny, odmówił powrotu z dachu, a kosmyk rudych włosów wymykał się z koczka, kiedy tylko udawało się jej go upiąć. Prawie biegiem dotarła do pracy, gdzie zastała pannę Prescott w jeszcze gorszym niż zazwyczaj humorze, mimo że zbliżało się Boże Narodzenie. W efekcie wszystko leciało jej z rąk, rozlała herbatę, pomyliła dokumenty i przez to spóźniła się na lunch.

Na domiar złego zaserwowano ohydny zapiekanekę i świąteczny pudding z jaskrawożółtą polewą. Wracając, musiała jeszcze zajrzeć na internę i odebrać karty choroby dwóch świeżo przyjętych „nagłych przypadków”, którym panna Prescott miała opracować dietę. Żeby było szybciej, pojechała windą towarową, mimo że przepisy zabraniały pracownikom korzystania z niej. Zanim wysiadła, rozejrzała się uważnie, wolała bowiem nie wpaść na którąś z pielęgniarek.

Korytarz był pusty. No, prawie pusty, gdyż w pobliżu windy zobaczyła profesora z jakąś kobietą. Obejmował ją ramieniem. Stali odwróceniem tyłem, śmiejąc się i żartując. W pewnej chwili kobieta wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Nie była bardzo młoda, ale ładna i szykowna.

Teodozja cofnęła głowę, modląc się w duchu, żeby jak najszybciej odeszli. Co też się stało. Wyciągała szyję, patrząc, jak idą korytarzem, nadal objęci. Siostra oddziałowa, która akurat wyszła z gabinetu, dołączyła do nich. Rozmawiali we trójkę dobrą chwilę, a potem weszli na oddział.

Teodozja zatrzasnęła drzwi windy i wróciła do panny Prescott.

- Proszę o karty - usłyszała w progu niemiły głos.

- Nie przyniosłam ich - odpowiedziała Teodozja hardo, targana uczuciami, których istnienia u siebie nawet nie podejrzewała. - Za późno wyszłam na obiad. Zamiast godziny przerwy miałam tylko czterdzieści minut. Ktoś inny może je przynieść. Może pani sama po nie pojedzie?

Twarz panny Prescott przybrała niebezpieczną, purpurową barwę.

- Teodozjo! Uszom nie wierzę. Czy zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz? Idź natychmiast po karty choroby!

Teodozja usiadła za biurkiem i wkręciła papier w maszynę - miała jeszcze kilka listów do przepisania. Panna Prescott zacisnęła zęby. Bardzo chciałyby dać nauczkę tej dziewczynie i natychmiast ją zwolnić. Niestety nie miała takich uprawnień. Poza tym, w przedświątecznym nawale pracy, zostałyby sama w biurze. Mogłaby wprawdzie zażądać kogoś do pomocy, ale Teodozja, mimo że nie miała odpowiedniego wykształcenia, nieźle dawała sobie radę.

- W drodze wyjątku mogę przyjąć, że źle się czujesz - powiedziała lodowatym tonem, -lestem gotowa przy-

mknąć oczy na twoje niestosowne zachowanie, pod warunkiem, że to się nigdy nie powtórzy. Teodozja nie słuchała. Bez jednego błędu przepisała wszystkie listy, mimo że część jej umysłu była zajęta nieustannym rozpamiętywaniem tego, co widziała na korytarzu. Kobieta, z którą stał profesor, to na pewno jego przyszła żona. Pokazywał jej szpital, przedstawiał kolegom i siostrze oddziałowej. Potem wsiadą do samochodu i pojedą do jego domu. Punktualnie o piątej Teodozja wstała, uprzątnęła biurko i pożegnawszy zdumioną pannę Prescott, wyszła do domu. Pokój wydawał się bardziej nieprzytulny niż zwykle - był zimny i ponury, mimo że natychmiast po przyjściu włączyła piecyk i zapaliła wszystkie lampy. Nakarmiła Gustawa, przygotowała sobie pełen imbryk herbaty i zaczęła rozmyślać. Była smutna i nieszczęśliwa, ale rozczulanie się nad sobą nic jej nie pomoże. Przecież wiedziała, że profesor planuje małżeństwo. Sam jej o tym powiedział. Musi przestać o nim myśleć. Byle tylko dało się uniknąć spotkań w szpitalu... Zrobiła sobie kolację i postanowiła od razu iść spać. To wszystko dlatego, pomyślała, że uczucie szczęścia zabiło w niej zdrowy rozsądek. Teraz odzyskała rozum, ale jest nieszczęśliwa. Trudno. Wcześniej czy później znowu będzie szczęśliwa. Wystarczy trochę samozaparcia. Od tej pory, zamiast wypatrywać profesora, obchodziła oddziały z wyjątkową ostrożnością. Trwało to oczywiście dłużej i tym samym wywoływało wielkie niezadowolenie panny Prescott. Dwa dni później jadła obiad z kilkoma pielęgniarkami

i urzędniczkami ze swojego działu. W pewnej chwili towarzystwo przy stole wyraźnie się ożywiło. Sprawiała to młoda pielęgniarka z interny - zaczęła szczegółowo opisywać kobietę, którą profesor Bendinck oprowadzał po oddziale.

- Mówię wam, wyglądała wspaniale! Nie była zbyt młoda, ale nie można oczekiwać od Bendincka, że zainteresuje się jakąś smarkulą. On jest już całkiem stary...

Teodozja już miała powiedzieć, że trzydzieści pięć lat to wcale nie jest dużo - wiek profesora zdradził jej któryś z partnerów podczas balu - ale w samą porę ugryzła się w język i słuchała.

- Miała na sobie kaszmirowy płaszcz i malutki kapelusz, który musiał kosztować majątek. A jej botki!... - Pielęgniarka w zachwycie uniosła oczy ku niebu. - Oboje wydawali się bardzo sobą zajęci. On nazywał ją „kochaną Rosie” i cały czas się do niej uśmiechał. A wiecie, że on nieczęsto się uśmiecha. Szczególnie w czasie obchodów. Zawsze jest uprzedzająco grzeczny, ale do wszystkich podchodzi z rezerwą. Chyba niedługo będziemy robić zrzutkę na prezent ślubny - dodała ze śmiechem.

- Tacy ludzie mają wszystko. Założę się, że Bendinck siedzi na forsie - odezwał się ktoś uszczypliwym tonem. - Ciekawe, gdzie on mieszka?

Teodozja zastanawiała się, jak by zareagowali, gdyby im powiedziała.

- A ja życzę im szczęścia. Należy mu się - powiedziała któraś z jej koleżanek. - Jest miły, zawsze otwiera kobietom drzwi, pierwszjr mówi dzień dobry i wstaje, gdy z nimi rozmawia. Pacjenci go kochają.

Nagle ktoś spojrział na zegarek. Wszyscy poderwali się z miejsc i pognali do pracy. Nadchodzi Boże Narodzenie, pomyślała Teodozja z ulgą. Jeszcze dwa dni i będę wolna. Prezenty dla ciotek czekają zapakowane w szafie, moja najlepsza sukienka, odprasowana i odczyszczona, wisi na wieszaku, prawie spakowana walizka leży na krześle. Jeszcze tylko muszę kupić ulubione jedzenie Gustawa i mogę jechać.

Teodozja zaplanowała już całą podróż. Jeśli wyjdzie ze szpitala o czasie, zdąży na pierwszy wieczorny pociąg, jeśli nie, jest jeszcze następny. Tak czy inaczej, dojedzie do Finchingfield, zanim zrobi się bardzo późno.

Wychodząc ze szpitala tego dnia, zauważyła w holu znajomą potężną sylwetkę. Profesor także musiał ją zauważyć, bo przerwał rozmowę z młodym lekarzem i skierował się w jej stronę.

Rozejrzała się, przerażona. Na jego widok poczuła się taka szczęśliwa, że obawiała się o swój zdrowy rozsądek. Jeśli do niej podejdzie i zacznie rozmowę, gotowa rzucić mu się na szyję!

Na szczęście nadeszła pomoc. Jeden z młodych laborantów, którego poznała na balu, przebiegał obok niej. Przystanął zdziwiony, bo Teodozja złapała go za rękaw.

- Powiedz coś - syknęła do niego. - Udawaj, iż się cieszysz, że mnie spotkałeś.

- Po co? Przecież się cieszę, że cię spotkałem, ale muszę bieć, bo ucieknie mi pociąg. - Chłopak próbował się wyrwać, ale Teodozja trzymała go mocno za ramię.

Profesor był tuż-tuż. Widziała go kątem oka - nie

spieszył się, ale podchodził coraz bliżej. Teodozja szeroko uśmiechnęła się do oniemiałego ze zdumienia laboranta.

- Dobra. Widzimy się o ósmej - powiedziała głośno i wyraźnie. - Możemy pójść do Chińskiego Pałacu.

I żeby uprawdopodobnić całe zajście, wspięła się na palce i ucałowała chłopaka w policzek. W tej samej chwili profesor podchodził do nich. Odwróciła głowę w jego stronę, żeby powiedzieć mu „dobry wieczór”. Odpowiedział grzecznie jak zwykle, minął ją i wyszedł na parking.

- Co w ciebie wstąpiło? - Laborant był lekko zirytowany. - To znaczy, wszystko w porządku, ale wcale nie mam zamiaru zapraszać cię do chińskiej restauracji. Po pierwsze moja dziewczyna by tego nie zniosła, a po drugie cienko u mnie z forszą.

Zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał, i zachichotał.

- Pocałowałaś mnie!

- Nic się nie martw. To był nagły przypadek. Musiałam udawać, że coś nas łączy.

Wyraźnie mu ulżyło.

- To znaczy, że to był żart? - upewnił się jeszcze.

- Jasne, że tak.

Spojrzała mu przez ramię. Szary bentley wykręcał właśnie na ulicę.

- Dzięki za pomoc - powiedziała i uśmiechnęła się do chłopaka.

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że na coś się przydałem. Ale swoją drogą, ty jesteś chyba wariatką.

Klepnął ją w ramię i pobiegł łapać swój pociąg,

a Teodozja wróciła do siebie, żeby opowiedzieć o wszystkim Gustawowi.

- Bo widzisz - wyjaśniała mu cierpliwie - jeśli profesor nie będzie mnie spotykać ani ze mną rozmawiać, to szybko o mnie zapomni. Ja o nim nie zapomnę, ale to przecież nie ma znaczenia. Na pewno wyjedzie gdzieś na święta. Myślę, że razem z tą kobietą. Ona jest śliczna i bardzo elegancka, i wiesz, stali razem i śmiali się do siebie...

Tu Teodozja zamilkła, żeby wydmuchać nos. Nie będzie płakać z tego powodu. Na pewno nie. On na pewno dojechał już do domu. Siedzi teraz w swoim pięknym salonie, a Rosie jest tam razem z nim. Było dokładnie tak, jak przypuszczała Teodozja. Profesor siedział w fotelu, z psami u stóp, a jego towarzyszka ułożyła się na kanapie. Oboje czytali - on przeglądał pocztę, ona przerzucała jakiś kobiecy magazyn. Zamknęła go z hukiem i odwróciła głowę.

- Nawet nie wiesz, jak to cudownie mieć cały dzień tylko dla siebie. Wydałam dziś fortunę na zakupy. Wstałam późno i jadłam coś, czego sama nie musiałam gotować. Po prostu raj!

Profesor zerknął na nią znad okularów.

- Ale i tak widzę, że tęsknisz już za Jamesem i chłopcami.

- Tak, trochę tęsknię. Czy jesteś pewien, że zniesiesz tu nas wszystkich? Chłopcy nie dadzą ci ani chwili spokoju. Cały dom będzie ich pełny.

Przerwała i popatrzyła na niego badawczo.

- Coś jest nie tak, prawda? Zawsze jesteś taki spo-

301

kojny i opanowany, a dzisiaj... Sama nie wiem... Wydajesz się być poruszony. Czy jest coś, a może ktoś... - Zamilkła i spojrzała na niego wyczekująco.

- Zawsze byłaś spostrzegawcza. - Profesor rozłożył ręce i pokiwał głową. - Masz rację, jak zwykle. Jestem, jak mówisz, poruszony przez pewne szare oczy i rudą czuprynę.

- Aa! Czyli jest jakaś dziewczyna... Ładna? Młoda? Kto to? Któraś z lekarek? Może pielęgniarka? - zasypała go gradem pytań.

- Zwyczajna dziewczyna z naszego szpitala. Pracuje w biurze. Jest młoda, może trochę za młoda dla mnie. I chyba niezbyt ładna, ale ja uważam, że jest śliczna. To miła i łagodna istota. Bardzo dobrze czuję się w jej towarzystwie. I wiesz, ma naturalne rude włosy. Czesze je w śmieszny kok na czubku głowy.

Uśmiechnął się do siostry, a ona rzuciła gazetę na podłogę i usiadła wyprostowana.

- Czy ożenisz się z nią, Hugo?

- Tak, jeśli tylko mnie zechce. Wiesz, ona wynajmuje okropny pokój na poddaszu. Nie ma rodziny, tylko kota i dwie stare ciotki, z którymi spędza święta. Mam zamiar zawieźć ją do nich. Może po drodze uda się nam porozmawiać.

- Ale wrócisz tu do nas, prawda?

- Oczywiście. Może namówię ją, żeby spędziła drugi dzień świąt z nami.

- Bardzo chcę ją poznać. A teraz nalej mi drinka i opowiadaj. Jak się spotkaliście?

Następnego dnia profesor był jak zwykle zajęty. Najpierw obchód, potem konsultacje. Po lunchu przyjmował pacjentów w prywatnym gabinecie i do szpitala wrócił dopiero przed piątą. W ciągu dnia nie próbował odszukać Teodozji, bo miał zbyt wiele pracy, ale teraz postanowił ją znaleźć. Jej wczorajsze spotkanie z młodym człowiekiem z laboratorium analitycznego wcale go nie zaniepokoiło - Teodozja była w przyjaznych stosunkach z połową szpitala, wyjąwszy, rzecz jasna, wyższy personel medyczny. A jednak usłyszał, że umawiała się z nim na wieczór. Co więcej - pocałowała go. Musi się dowiedzieć, czy jest w tym chłopaku zakochana. W końcu laborant jest młody i całkiem przystojny. Na chłodno rozważył wszystkie fakty i uznał, że Teodozja nie okazywała temu chłopakowi niczego więcej poza zwykłą sympatią.

Tym bardziej musiał wszystko sprawdzić. Stał właśnie przed jej pokojem, kiedy drzwi się otworzyły i Teodozja wybiegła na korytarz. Zatrzymała się gwałtownie, bo profesor jest postawnym mężczyzną i nie tak łatwo było go ominąć.

- O! - zawołała. Zamilkła i za chwilę zaczęła znowu. - Dobry wieczór, profesorze.

- Dobry wieczór - odpowiedział. - Jak tam plany na święta? Odwiozę cię do Finchingfield. Wieczorne pociągi będą strasznie zatłoczone i na pewno spóźnione. Będziesz gotowa na siódmą?

Teodozja potrzebowała chwili, żeby uspokoić oddech. Teraz musi coś wymyślić. Przecież nie może z nim jechać! Znowu jest dla niej miły. Pewnie opowiedział swo-

303

jej narzeczonej o biednej dziewczynie, którą trzeba odwieźć do starych ciotek, a Rosie się na to zgodziła. Musi mu pokazać, że nie potrzebuje jego łaski.

- Dziękuję bardzo, ale nie trzeba. Kolega obiecał, że mnie podwiezie. Jedzie w tamtą stronę. Tak się złożyło, że ma^przyjaciół niedaleko Finchingfield.

Uznała, że idzie jej coraz lepiej.

- Idziemy razem na imprezę. Lubię świąteczne przyjęcia. Wszyscy są na luzie i jest wspaniale.

Potem dodała, tak na wszelki wypadek:

- Po świętach odwiezie mnie do domu. Zauważyła, że profesor bacznie się jej przygląda, i rzuciła odważnie:

- Pracuje w naszym laboratorium.

Jeśli spodziewała się zobaczyć rozczarowanie na twarzy profesora, bardzo się myliła.

- Świetnie. Widzę, że wszystko dobrze zorganizowałaś - powiedział cicho uprzejmym głosem.

- Tak. Udało mi się wszystko. Już nie mogę się doczekać. Świetna zabawa... - plotła teraz trzy po trzy.

- Muszę już lecieć. Czekają na mnie. Wszystkiego najlepszego z okazji świąt. Mam nadzieję, że będą naprawdę wspaniałe.

Ruszyła biegiem w kierunku schodów. Profesor nie miał zamiaru jej gonić. Był zawiedziony i gorzko rozczarowany. I nic dziwnego. Ale równocześnie czuł, że coś jest nie tak. Teodozja była zbyt gadatliwa. Trochę za bardzo starała się przekonać go, że będzie się świetnie bawić. Mógłby przysiąc, że zmyśliła całą tę historię. Ale z drugiej strony, mogła czuć się zażenowana i zawsty-

304

dzona, że podczas ich spotkań nigdy nie wspomniała o swoim związku z laborantem.

Powoli zszedł do gabinetu. Przyjął kilku pacjentów, a potem wrócił do domu. Na pozór zachowywał się tak jak zwykle. Porozmawiał z siostrą o tym, jak minął jej dzień, wspólnie omówili ostatnie szczegóły przedświątecznych przygotowań - mąż Rosie i jej synowie przyjeżdżali następnego dnia - i tyle. I chociaż Rosie bardzo chciała porozmawiać o Teodozji, nie powiedziała ani słowa, bo było jasne, że Hugo nie chce dzisiaj o niej wspominać.

Nie tylko nie chciał jej wspominać. Następnego dnia nie zrobił nic, żeby ją spotkać. W szpitalu panowało radosne podniecenie. Wszystkie oddziały były świątecznie udekorowane. Cały personel był wesoły - nawet ci, którzy zostawali w taki dzień na dyżurze. Profesor zrobił jeszcze wieczorny obchód. Kiedy zerknął na zegarek, dochodziła szósta. Teodozja na pewno już wyszła. Przechodząc obok laboratorium, ze zdumieniem zauważył, że młody człowiek, który miał odwiedzić Teodozję, jest jeszcze w szpitalu.

- O tej porze w pracy? - zapytał. - Ma pan dyżur?

- Nie, panie profesorze. Właśnie skończyłem i wracam do domu.

- Gdzieś daleko? - zapytał profesor od niechcienia.

- Nie bardzo. Jadę do Clapham Common. Razem z dziewczyną spędzimy święta u moich rodziców.

- Nie ma jak Boże Narodzenie w rodzinnym gronie, prawda? Planujecie ślub?

- Tak. Kiedy tylko Dorothy sprzeda mieszkanie po

305

rodzicach. Oboje już nie żyją. Za wspólne oszczędności chcemy kupić domek w okolicach Clapham.

- No, to życzę wam szczęścia. I wesołych świąt.

Profesor odszedł niespiesznie. Młody laborant pomyślał sobie, że nie jest takim starym zgredem, za jakiego go miał, mimo że kiedy przychodził do ich pracowni, żądał, żeby wszystkie testy były gotowe natychmiast.

Po powrocie do gabinetu profesor w ciągu dziesięciu minut skończył wszystkie prace. Nie miał pojęcia, dlaczego Teodozja wymyśliła te bzdury, ale zamierzał to sprawdzić. Jeśli wyszła ze szpitala o piątej, powinna jeszcze być w domu - przed wyjazdem musiała przecież zająć się Gustawem, zebrać swoje rzeczy, a to chwilę trwa...

Podchodził już do drzwi, kiedy zabrzączał jego pager. Wzywano go na oddział.

Teodozja wracała do domu biegiem. Jak mogła się spodziewać, panna Prescott do ostatniej minuty wynajdywała dla niej coraz to nowe zajęcia. Nie miała szansy zdążyć na wcześniejszy pociąg. Musi pilnie zadzwonić do ciotek i uprzedzić, że będzie u nich później. Ale najpierw nakarmiła zniecierpliwionego Gustawa, przebrała się w prawie najlepszą sukienkę, znalazła kapelusz - a wszystko to zrobiła w takim tempie, że został jej jeszcze czas na wypicie herbaty. W pociągu będzie na pewno zimno, a w Braintree będzie długo czekać na autobus, pomyślała, zapalając gaz pod czajnikiem.

Siedziała właśnie z filiżanką w ręku, kiedy rozległo

się pukanie. Usłyszała głos pani Towzer i otworzyła drzwi.

- Nie wchodzę, kochanie, bo widzę, że jesteś gotowa do wyjścia. Zapomniałam oddać ci list. Przyszedł dzisiaj rano. To pewnie nic ważnego, ale skoro jeszcze jesteś w domu... - Spojrzała na zegarek. -
Wesołych świąt. Wracam do siebie. Wieczorem urządza przyjęcie i muszę zrobić się na bóstwo.

Dom jest już prawie pusty. Wszyscy wyjechali.

I odeszła, podśpiewując fałszywie jakąś kolędę.

List był zaadresowany pajęczym pismem ciotki Mary. Czyżby zapomniała o jakimś szczególnie ważnym zakupie? O ile nie jest to coś, co można kupić na stacji -ciotki powinny się pożegnać z myślą, że Teodozja spełni ich żądanie. Nie ma na to czasu.

Zerknąwszy niepewnie na zegarek, usiadła i rozerwała kopertę. Przeczytała Ust raz, a potem drugi.

Ciotka Mary pisała, że stary przyjaciel rodziny, archidiakon Worth z małżonką wrócił właśnie do Anglii z misji w Ameryce Południowej. Ich rodzina mieszka aż w Szkocji, zbyt daleko, żeby archidiakon przedsięwziął tak długą podróż na trzy krótkie dni.

„Przedyskutowałyśmy z ciotką Jessicą całą sytuację. Zgodziłyśmy się obie, że w ich położeniu naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest udzielić im gościny jako naszym przyjacielom. Przecież Boże Narodzenie jest czasem miłosierdzia wobec bliźnich”.

Teodozja w wyobraźni niemal słyszała głos ciotki Mary.

Z dalszej części listu wynikało, że w domu ciotek nie

ma dostatecznie dużo sypialń, a Teodozja, która ma wielu znajomych w Londynie, na pewno zostanie zaproszona przez kogoś z nich. Ciotka Mary miała nadzieję, że ich decyzja zostanie właściwie zrozumiana i wyrażała żal, że tym razem święta spędzą z dala od siebie.

Teodozja siedziała bez ruchu, niezdolna do uporządkowania myśU, które kłębiły się jej w głowie. Próbowwała poradzić sobie z niespodziewanym zawodem oraz z przykrym i wszechogarniającym uczuciem, że jest niechciana. To prawda, miała znajomych w Londynie, ale mało kto chce zapraszać obcych ludzi na rodzinne zgromadzenia.

Wstała ciężko, przeUczyła pieniądze w portmonetce, wyjęła zza drzwi wózek na zakupy i zapewniwszy Gustawa, że niedługo wróci, wyszła z domu. Drzwi do mieszkania pani Towzer były zamknięte. Najwyraźniej gospodyni podczas przygotowań do przyjęcia przestała interesować się życiem swoich lokatorów. Zresztą, dom i tak był prawie pusty.

Teodozja obeszła małe sklepiki przy najbliższej handlowej ulicy. Wprawdzie zaoszczędziła na biletach, ale i tak musiała Uczyć się z każdym groszem. Kupiła herbatę, masło, karton mleka i ser, coś dla Gustawa i paczkę makaronu, za którym nie przepadała, ale który był sycący, fasolkę w sosie pomidorowym i puszkę zupy. Rzeźnik sprzedał jej bardzo tanio udo indyka i całkiem znośny bekon. Kiedy dodała do tego ziemniaki i jabłka, wózek był niemal pełny.

W piekarni między pokrytymi jaskrawym lukrem ciastami znalazła ostatni świąteczny pudding, bez którego

nie wyobrażała sobie Bożego Narodzenia. Ostatnie pieniądze wydała na miniaturową plastikową choinkę, kilka gałązek ostrokrzewu i - na samym końcu - na pudełko czekoladek.

Tak obładowana dotarła do domu. Do pani Towzer właśnie zaczynali schodzić się goście, ale Teodozja, niezauważona, przemknęła się jakoś na górę.

- Wesołych świąt, Gustawie. Przynajmniej ty jesteś zadowolony, że uniknąłeś podróży w zatłoczonym pociągu. Nie miała żadnych świecidełek, ale ozdobiła pokój jak umiała. Kartki świąteczne, choinka i ostrokrzew musiały stworzyć odpowiedni nastrój. Do tej chwili dawała sobie jakoś radę. Kiedy skończyła się krzątać, ogarnęły ją ponure myśli. Poczula się bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwa i rozszlochała się nad puszką zupy, którą otworzyła na kolację. Nie chodziło jej o to, że została sama. Z samotnością dawała sobie radę. Najgorsza była świadomość, że ciotki pozbyły się jej w imię chrześcijańskiego miłosierdzia. Ale owo miłosierdzie powinno także dotyczyć samotnej młodej dziewczyny... Nie mówiąc o tym, że mogła spać na kanapie w salonie.

Zjadła zupę, wypakowała rzeczy z torby podróżnej i korzystając z okazji, że pani Towzer jest zajęta, a współlokatorzy wyjechali, postanowiła zrobić sobie prezent i wziąć prawdziwą, długą kąpiel.

Profesor wyszedł ze szpitala o wpół do dziesiątej. Dopiero wtedy miał czas pomyśleć o tym, co stało się wcześniej. Młodzieniec z laboratorium nie był żadnym

zagrożeniem, to jasne. Cała historia była wymysłem Teodozji. Ale jaki miała cel, opowiadając mu podobne bzdury? Czyżby chciała się go pozbyć? Niemożliwe! Mogła go nie kochać, ale lubiła go. Profesor nie był człowiekiem zarozumiałym, ale to, że Teodozja go lubi, wiedział na pewno. Coś się tutaj nie zgadzało.

Pojechał do domu, aby uprzedzić siostrę i szwagra, że może wrócić późno, poprosił Meg o przygotowanie pokoju dla gościa, którego może przywieźć w nocy, gwizdnął na George'a i Maksa i razem ruszyli w stronę Finchingfield.

Rosie stała na progu i ze zdziwieniem patrzyła, jak odjeżdża.

- Pojechał po tę miłą panienkę z rudymi włosami -wyjaśniła Meg, która stała za plecami Rosie. - Nie wiadomo, gdzie ona jest, ale nie mam wątpliwości, że Hugo ją znajdzie i tutaj przywiezie.

- Też mam taką nadzieję, Meg. Ona jest chyba dla niego stworzona. Czy poczekamy na nich z kolacją?

- Nie. Kolacja będzie za chwilę. Jeśli zakochani nie wrócą do północy, zostawię im coś gorącego w piecu.

Miasto było niemal całkowicie wyludnione. Profesor dotarł do Bishop's Stortford w rekordowym czasie, po czym skręcił w stronę Finchingfield.

Dom ciotek był rzęsiście oświetlony. Profesor zostawił psy w samochodzie i mocno zapukał do drzwi. Po chwili w progu stanęła pani Trickey, w tym samym co zwykle kapeluszu.

310

- Trochę późno na wizyty - powiedziała. - Ja już wychodzę.
 - Chciałem zobaczyć się z panną Teodozją - powiedział chłodno.
 - Ja też bym tego chciała. Tylko że jej tu nie ma. Ale jest ten archidiakon z żoną - syknęła ze złością. - Ciągłe czegoś chcą, a ty człowieku lataj z góry na dół. Zachciewa się im gorącej wody. Albo marudzą, żeby zapalić im w kominku. Niech pan wejdzie i sam porozmawia z pannami Chapman.
- Otworzyła drzwi do salonu i prawie krzyknęła:
- Gość do pań. A ja już sobie idę. Ciotka Jessica podniosła się z krzesła.
 - Profesorze, co za nieoczekiwana wizyta. Pozwolę sobie przedstawić archidiakona Wortha i panią Worth, którzy spędzają z nami Boże Narodzenie.
- Maniery profesora były jak zawsze bez zarzutu, nawet jeśli musiał powstrzymać rosnące zniecierpliwienie. Kiedy powiedział już, co miał do powiedzenia, spojrzął na obie panny Chapman:
- Przyjechałem zobaczyć się z Teodozją... Teraz pałeczkę przejęła ciotka Mary.
 - Goszczą u nas nasi starzy przyjaciele. Po powrocie z Ameryki Południowej nie mieli żadnych planów na Boże Narodzenie. Z wielką przyjemnością zaproponowałyśmy, by spędzili ten radosny czas z nami.
 - A Teodozja? - zapytał profesor.
 - Napisałam do niej list. Młodzi powinni przestawać z młodymi. Jestem pewna, że to zrozumiała. Na pewno została zaproszona przez kogoś innego...

311

- Rozumiem. Mogę spytać, kiedy Teodozja dowiedziała się o zmianie planów?

- Powinna dostać mój list... Muszę sobie przypomnieć, kiedy wrzuciłam go do skrzynki... Tak. Na pewno dostała go dzisiaj. Bardzo chętnie zobaczymy ją u nas innym razem, po wcześniejszych ustaleniach, oczywiście.

- Oczywiście - odpowiedział profesor lodowatym tonem. - Wcześniejsze ustalenia będą konieczne, ponieważ po naszym ślubie Teodozja będzie raczej zajęta. Pozwolę sobie życzyć państwu wesołych świąt. - Nawet się nie uśmiechnął. - Dobranoc. Proszę mnie nie odprowadzać. Sam wyjdę.

Do Finchingfield jechał bardzo szybko, ale do Londynu wracał jeszcze szybciej. Ogarnęła go zimna wściekłość. Jak te więdźmy śmiały tak potraktować jego Teodozję?! Zrobi co w jego mocy, żeby jej to wynagrodzić. Przez całe życie będzie miała wszystko, czego tylko zechce: ubrania, biżuterię, wakacje w gorącym słońcu... Zaśmiał się cicho. W głębi serca dobrze wiedział, że Teodozja chce czegoś innego - domu, dzieci i miłości. Ale to też on może jej dać.

Teodozja wróciła z łazienki w dużo lepszym nastroju. Nawet pokój wydał się jej miłszy, a z daleka sztuczna choinka wyglądała całkiem jak prawdziwa. Obok niej leżały prezenty - chrupki dla Gustawa i czekoladki dla niej. Pachniało jabłkami i gorącym kakao. Nalewała Gustawowi mleko do miseczki, kiedy usłyszała pukanie. Czyżby pani Towzer zauważyła jej obecność i przyszła zaprosić ją na swoje przyjęcie? To bardzo miło z jej stro-

ny, pomyślała Teodozja, otwierając drzwi. Do pokoju wmaszerowali George, Max i profesor.

- Nigdy nie otwieraj drzwi bez sprawdzenia, kto puka - mruknął. - Przecież to mógłby być jakiś zbój w kominiarce.

Patrzyła na niego całkiem osłupiała. Kocham go, pomyślała. Wciąż go kocham. A ponieważ był już w środku, zamknęła za nim drzwi. Oba psy usadowiły się przy kominku, nie zwracając uwagi na niezadowoloną minę Gustawa.

- Właśnie szłam spać...

- Najwyższy czas - zakpił sobie z niej.

- Skąd wiedziałeś, że jestem w domu?

Z zadowoleniem zauważył, że jej głos brzmiał prawie normalnie. Tylko oddychanie przychodziło jej z trudem.

- Byłem u twoich ciotek.

- Dzisiaj wieczorem? Chyba żartujesz.

- Dzisiaj wieczorem. Właśnie stamtąd wracam. Podejmują archidiakona i jego żonę.

- Tak, wiem. Ale dlaczego tam pojechałeś?

- Tak, to muszę ci wyjaśnić.

Rozejrzał się po pokoju. Zobaczył małą choinkę, plastikowy ostrokrzew i dekorację ze świątecznych kartek. W milczeniu przyjrzał się Teodozji w bezkształtnym wełnianym swetrze, w którym wyglądała niezgrabnie i śmiesznie. Rude włosy, wilgotne po kąpieli, w nieładzie opadały jej na czoło. Jemu wydawała się piękna,

- Zapakuj kilka rzeczy do torby i ubierz się, malutka.

- Mam się pakować? Dlaczego? - Popatrzyła na niego oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

313

- Bo spędzisz święta u mnie.
- Nie. Nie mam zamiaru nigdzie wychodzić. Przypomniała sobie o dobrych manierach i dodała:
- Dziękuję za zaproszenie, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to niemożliwe.
- Dlaczego? Wytłumacz mi. Nagle puściły wszystkie tamy.
- Widziałam cię w szpitalu! - krzyknęła. - Nie chciałam cię szpiegować, ale wyszłam z windy i zobaczyłam cię z nią. Obejmowałaś ją. Śmialiście się do siebie. Więc jak możesz zapraszać mnie teraz do swojego domu? - Zachłysnęła się łzami jalc dziecko. - Idź już sobie. Czy ona wie, że tu jesteś? Czy ona też mnie zaprasza?

Profesor z trudem tłumił śmiech.

- Nie. Ona nie wie, gdzie jestem, ale czeka na ciebie. A Meg przygotowała ci pokój.
 - To bardzo miło z twojej strony. - Teodozja położyła mu rękę na ramieniu.
- To był błąd, bo profesor natychmiast ujął jej dłoń, podniósł do ust i ucałował. I zaraz potem objął ją i przyciągnął do siebie.
- Nie - szepnęła.

Próbowała się wyrwać z jego objęć, ale jej na to nie pozwolił.

- Stój spokojnie, kochanie, bo zamierzam cię pocałować. Pragnę tego od dawna. Kocham cię chyba od naszego pierwszego spotkania.

Schylił się, a potem pocałował ją mocno i czule. Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił jedenastą.

314

- Ubieraj się, kochanie. Zaraz będziemy w domu.
 - Nie, Hugo. Przecież wiesz, że tam nie pojedę.
 - Nie dałaś mi szansy niczego wyjaśnić, bo rzuciłaś się na szyję temu chłopakowi z laboratorium. W szpitalu byłem z moją siostrą, Rosie. Jest teraz u mnie z mężem i synami. A ty wymyśliłaś sobie jakieś bzdury.
 - Ach tak... - Teodozja poczuła się nareszcie szczęśliwa. - Czy nadal chcesz się ze mną ożenić?
 - Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.
 - Ale jeszcze mnie o to nie poprosiłaś. Zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.
 - Czy wyjdiesz za mnie, Teodozjo?
 - Tak. Przez cały czas starałam się nie zakochać w tobie, ale nic z tego nie wyszło.
 - I chwała Bogu! A teraz spakuj szczoteczkę do zębów, zdejmij ten straszny sweter i ubierz się. Daję ci piętnaście minut. A my przez ten czas utniemy sobie drzemkę.
- To zadziwiające, ile może zrobić szczęśliwy człowiek w tak krótkim czasie. Teodozja nie potrzebowała nawet kwadransa.
- Jestem gotowa - oznajmiła po dziesięciu minutach.
- Profesor zakręcił gaz, dokładnie zamknął okno, wsadził Gustawa do koszyka i podszedł do małej lodówki. Przez chwilę lustrował jej zawartość, ale nic nie powiedział.
- Wyłączymy wszystko z wyjątkiem lodówki - zaproponował po chwili. - Po świętach coś z tym zrobię. Już tu nie wrócisz.
 - Ale ja nie mam innego domu, a ciotki... - Wzruszyła ramionami.

315

- Zostaniesz u mnie. A skoro jesteś taka staroświecka, Meg będzie przyzwoitką. Weźmiemy ślub, jak tylko załatwimy wszystkie formalności. Co ty na to?

A ponieważ oszołomiona Teodozja milczała, pocałował ją znowu.

Tym razem pani Towzer usłyszała ich kroki na schodach i natychmiast pojawiła się w drzwiach.

- Pani wychodzi? Nie za późno? Ach, jest z panią ten dżentelmen, który tu bywał.

Popatrzyła na profesora surowo.

- Tylko bez żadnych ekscesów! - zawołała i pogroziła mu palcem.

- Szanowna pani! - Profesor wyprostował się. - Zabieram teraz swoją przyszłą żonę do siebie do domu, gdzie spędzi Boże Narodzenie z moją rodziną. Proszę nie spodziewać się jej powrotu. Ja pojawię się tu po świętach, żeby uregulować ewentualne rachunki.

- Skoro tak, to życzę państwu wesołych świąt. - Pani Towzer spojrzała na George'a i Maksa, a potem na wąsiki Gustawa, wystające z koszyka. - I zwierzętom też.

Kiedy wsiedli do samochodu, Teodozja parsknęła śmiechem.

- Byłeś bardzo surowy - powiedziała. - Zachowywałeś się jak prawdziwy profesor.

- Nie znasz mnie jeszcze od tej strony, kochanie. Ale obiecuję, że nigdy tak się nie zachowam wobec ciebie. Ani wobec naszych dzieci.

Teodozja uśmiechnęła się, ale miała ochotę się rozplakać. Chyba ze szczęścia.

316

- Jak to dobrze kochać i być kochanym. Co za wspaniały dzień! Jestem bardzo szczęśliwa!

Dotarli do domu, kiedy zegary zaczęły bić dwunastą. Zaczynało się Boże Narodzenie.

- Tego właśnie pragnąłem - powiedział, kiedy weszli już do uśpionego domu. - Życzyć ci wesołych świąt w swoim domu - i w twoim domu, kochanie.

Kiedy Teodozja złapała już dech po kolejnym cudownym pocałunku, spojrzała na niego z miłością.

- Czy to wszystko prawda? Hugo, najdroższy, życzę ci wesołych świąt.

Staneła na palcach i pocałowała go. A potem jeszcze raz.